

ALFRED HITCHCOCK

**TAJEMNICA
ZAGINIONEJ SYRENY**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: ANNA IWAŃSKA)

Słowo wstępne Alfreda Hitchcocka

Witajcie, miłośnicy tajemniczych przygód!

Jeśli znacie już Trzech Detektywów, ten wstęp nie jest Wam potrzebny. Przewróćcie kartkę i przystąpcie od razu do rozdziału pierwszego, gdzie zaczynają się emocjonujące przygody. Będziecie świadkami dziwnych zdarzeń, związanych z pewnym nieznośnym dzieciakiem, nawiedzoną gospodą, antypatycznym miłośnikiem psów i oczywiście syreną. Dowiedziecie się o śmierci pewnej pięknej aktorki, która... Ale nie powinienem zdradzać zbyt wiele na wstępie. Teraz chcę Wam tylko przedstawić głównych bohaterów.

Trzej Detektywi to chłopcy, którzy mieszkają w Rocky Beach, małym miasteczku na wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Jupiter Jones, Pierwszy Detektyw i głowa zespołu, to puciołowaty, bystry chłopak, który wiele czyta i pamięta wszystko, co przeczytał. Pete Crenshaw, Drugi Detektyw, jest wysportowany, lojalny, a także, prawdę mówiąc, trochę ostrożny, zwłaszcza gdy dzięki Jupiterowi chłopcy znajdują się w sytuacjach podbramkowych. Bob Andrews, choć najmniejszy, jest równie śmiały i nieustraszony jak tamci dwaj. Do jego zadań należy prowadzenie analiz i dokumentacji dla zespołu.

A teraz, skoro już poznaliście chłopców, wyruszajcie na spotkanie z przygodą.

Alfred Hitchcock

Rozdział 1

Zaginiony chłopczyk

- Nie ma go! Nie ma Todda! Znikł!

Z dziedzińca po drugiej stronie ulicy wybiegła kobieta. Była młoda, ładna, opalona. Wyglądała na przerażoną.

- Panie Conine, znowu znikł! - krzyczała. - Nie mogę go nigdzie znaleźć!

Starszy pan siedział na ławce przy promenadzie i gawędził miło z trzema chłopcami. Teraz wyraz jego twarzy zmienił się nagle, pojawiło się na niej zmęczenie i zniecierpliwienie.

- Niech to wszyscy diabli - mruczał pod nosem. - Czy to dziecko nie może pięć minut usiedzieć spokojnie? Wstał i podszedł do kobiety.

- Nie martw się, Regino - powiedział. - Przecież nie ma dnia, by Todd choć raz nie uciekł. Tiny go pilnuje.

- Tiny z nim nie poszedł - odparta kobieta. - Tiny śpi. Odwróciłam na chwilę głowę i Todd znikł. Jest zupełnie sam!

Na to trzej chłopcy, którzy dotrzymywali towarzystwa starszemu panu, wymienili spojrzenia.

- Czy zaginiony to pani syn? - zapytał najgrubszy z chłopców. - Ile ma lat?

- Pięć - odpowiedziała kobieta - i nie powinien się sam oddalać.

- Och, nie mógł zająć daleko - powiedział pan Conine. - Poszukamy go wzdłuż Nadbrzeżnej. Idź w tamtą stronę, a ja pójdę w stronę przystani. Znajdziemy go na pewno. Zobaczysz.

Poklepał ją po ramieniu. Odwróciła się i odeszła z wyrazem powątpiewania na twarzy. Patrzył za nią przez chwilę, po czym skierował się w stronę przeciwną.

- Pięcioletnie dziecko - odezwał się szczupły chłopiec w okularach, jeden z trzech siedzących na ławce. - Jupe, przecież to miejsce roi się od podejrzanych typów. Gdybym miał pięcioletniego dzieciaka, na pewno nie pozwoliłbym mu się wałęsać samemu po tej okolicy.

Pucołowaty chłopiec pokiwał z zatroskaniem głową. Nazywał się Jupiter Jones. Wraz z przyjaciółmi, Bobem Andrewsem i Pete'em Crenshawem, przyjechał dzisiaj do malowniczego kalifornijskiego miasteczka o nazwie Wenecja. Wybrali się tutaj z rodzinnego Rocky Beach z inicjatywy Boba. Przymocowali rowery do stojaków na rynku i poszli spacerem przez Nadbrzeżną, szeroką, brukowaną promenadę, biegnącą wzdłuż plaży. Pogapili się na imprezy karnawałowe, z których Wenecja słynęła - po cementowym chodniku

jeździły na wrotkach dziewczęta w trykotach, obok, ścieżką dla rowerów mknęli jeźdźcy na koniach, plażowicze puszczały latawce. Kręcili się też muzykanci uliczni, sprzedawcy lodów, żonglerzy, klowi, mimowie i wróżbici.

Odbывał się w Wenecji radosny festiwal uliczny, ale miała ona i swoją smutną stronę. W pobliżu Nadbrzeżnej chłopcy zobaczyli grupę przycupniętych na plaży włóczęgów, którzy bełkocząc podawali sobie z rąk do rąk butelkę. Widzieli, jak policja aresztowała młodego człowieka oskarżonego o sprzedaż narkotyków i jak odprowadzano go skutego w kajdanki. Widzieli złodziejaska sklepowego, który zbiegał z jednego z nadbrzeżnych sklepów, obładowany torbami z jedzeniem, a właściciel przywoływał policję.

Jupiterowi przypomniały się zasłyszane o Wenecji historie. Podobno tutejsza plaża była rajem dla zbiegów, którzy mieszkali pod mołem. Mówiono, że gangi młodocianych przestępców grasują na pobliskich ulicach. To nie było odpowiednie miejsce do samotnych wędrówek malutkiego dziecka.

Jupiter zerknął na przyjaciół. Patrzyli na niego wyczekująco, spodziewając się, że podejmie decyzję.

- Znosi się na nową sprawę dla Trzech Detektywów - powiedział i dwaj pozostali chłopcy uśmiechnęli się aprobująco.

Byli to właśnie Trzej Detektywi. Utworzyli agencję detektywistyczną i wciąż wypatrywali zagadkowych spraw do rozwiązania. Nie było spraw zbyt dużych lub zbyt małych, których by się nie podejmowali.

Chłopcy ruszyli wzdłuż Nadbrzeżnej. Przeprowadzali poszukiwania bardziej metodycznie niż pan Conine czy matka chłopca. Zaglądali do śmietników. Zagadywali bosonogie dzieci, biegające po plaży. Zagłębiali się w alejki i uliczki łączące Nadbrzeżną z ulicami do niej równoległymi, czyli Przelotową i Aleją Pacyfiku.

Właśnie na jednej z tych bocznych uliczek zobaczyli małego chłopca, przykucniętego na ganku. Prowadził ożywioną rozmowę z rudym kotem. Był ciemnowłosy i czarnooki, podobnie jak kobieta z dziedzińca.

- Na imię ci Todd? - zagadnął Jupiter.

Malec nie odpowiedział. Cofnął się i starał się wcisnąć poza wahadłowe drzwi ganku.

- Mama cię szuka - powiedział Jupiter.

Chłopczyk przypatrywał mu się chwilę. Wreszcie skapitulował. Wyszedł zza drzwi i wyciągnął rączkę.

- Okay - powiedział.

Jupe wziął chłopczyka za rękę i wszyscy zawrócili na Nadbrzeżną. Gdy tylko wyszli

na promenadę, wpadł na nich pan Conine. Był mocno zdyszany i zdenerwowany. Rzucił się do Todda.

- Ty niegodziwy chłopcze! - krzyczał. - Twoja biedna matka szaleje z niepokoju!

Właśnie ukazała się szalejąca z niepokoju matka. Najpierw porwała Todda w ramiona, potem potrząsnęła nim.

- Jeśli jeszcze raz pójdziesz gdzieś sam, obedrę cię ze skóry! - zagroziła.

Groźba nie zrobiła na Toddzie wielkiego wrażenia, ale wiedział, że lepiej siedzieć cicho. Stał cierpliwie, podczas gdy chłopcy przedstawiali się jego mamie.

Nazywała się Regina Stratten. Już rozpogodzona, gawędziła z chłopcami, prowadząc ich w stronę dziedzińca, z którego przedtem wybiegła. Był to plac między budynkami, ustawionymi w kształt litery U. W budynkach tych mieściły się sklepy. Regina Stratten skierowała się do pierwszego z nich po lewej, do księgarni nazwanej "Mól Książkowy".

W księgarni przy kasie siedział wątlý pan koło sześćdziesiątki. Regina przedstawiła go. Był to jej ojciec, Charles Finney. Prowadzili księgarnię we dwójkę, podczas gdy Todd kręcił się im pod nogami, pozostając pod opieką psa Tiny.

Tiny okazał się olbrzymim zwierzakiem. Był mieszańcem doga z labradorem. Pomerdał ogonem na widok Todda i położył mu mordę na ramieniu.

- Popatrz tylko, jak Tiny za tobą tęsknił - powiedziała Regina Stratten. - Nie wstyd ci?

Todd odparł wielkodusznie:

- Tiny drzemał. Nie chciałem go budzić, więc poszedłem sam.

- Jeszcze raz to zrobisz, to już ja ciebie obudzę! - ofuknęła go matka.

Pan Conine przyglądał się obecnym, stojąc w progu. W pewnej chwili został odepchnięty przez szczupłego, przystojnego mężczyznę w średnim wieku, na którego twarzy malowała się głęboka dezaprobata. Obrzucił Todda wściekłym spojrzeniem.

- Te rysunki pastą do zębów na mojej szybie to twoja sprawka?

Todd wycofał się za Tiny'ego.

- Todd! - Regina Stratten nie posiadała się z oburzenia. - Todd, jak mogłeś wpaść na taki pomysł?

Pan Finney westchnął.

- Zastanawiałem się, co się stało z pastą do zębów.

- Jeśli to się powtórzy, wezwę policję i każę cię aresztować - groził nowo przybyły.

- Ależ, panie Burton - zaprotestowała Regina - nie róbmy z tego zbrodni. Jestem pewna, że Toddowi jest bardzo przykro i będzie...

- Będzie się trzymał ode mnie z daleka - przerwał jej mężczyzna. Pokręcił głową i

stwierdził: - Coś trzeba zrobić z tym dzieciakiem!

Tiny wyczuł, że przybysz nie jest przychylny jego młodemu panu i zawarczał.

- A ty, psie - burknął mężczyzna - bądź cicho! Po czym czując, że zachował się śmiesznie, wymaszerował ze sklepu. Todd zerknął na matkę. Nie uśmiechała się. Dziadek też się nie uśmiechał. Todd ukrył buzię w kudłatym grzbiecie Tiny'ego.

- Dobrze - odezwała się matka - nie udawaj obrażonej niewinności, Todd. Lepiej odtąd uważaj, słyszysz? To nasz gospodarz i możemy stąd wylecieć, jak będziesz mu wyrządzał szkody.

Todd nie odpowiedział. Pod stołem, w głębi sklepu leżał samochodzik i Todd poszedł się nim bawić. Tiny poczłapał za nim.

- Teraz będzie grzeczny - stwierdziła Regina Stratten. - Przynajmniej przez najbliższe piętnaście minut.

Dziękowała ponownie chłopcom za odnalezienie Todda, a pan Finney nalegał, by zostali i napili się lemoniady. Przyjęli zaproszenie chętnie, gdyż mieli tu do załatwienia pewną sprawę. Pomagali Bobowi w zbieraniu informacji do jego wakacyjnej pracy o amerykańskiej cywilizacji.

- Mam zamiar pisać o osiedlach, w których dokonują się zmiany - tłumaczył Bob panu Finneyowi. - Pomyślałem sobie, że Wenecja jest miejscem, od którego dobrze zacząć.

Pan Finney kiwał głową, a stary pan Conine aż piszczał z zadowolenia.

- W Wenecji zachodzą zmiany od momentu, gdy ją zbudowano - mówił. - To zwariowana miejscowość i nigdy nie jest tu nudno.

- Przyjedziecie znowu jutro na paradę, prawda? - zapytała Regina.

- Paradę Czwartego Lipca, z okazji Święta Niepodległości? Oczywiście, jeżeli pani uważa, że warto ją zobaczyć - odparł Bob.

- Absolutnie powinniście ją zobaczyć - powiedział pan Finney. - To parada inna niż te, jakie dotąd widzieliście. Czwartego lipca wszystko może się zdarzyć, a w Wenecji zazwyczaj się zdarza!

Bob spojrział pytająco na przyjaciół. Pete przez szybę wystawową gapił się na Nadbrzeżną. Właśnie przechodziła kobieta w fioletowej sukni, prowadząc sama z sobą ożywioną konwersację.

- To panna Moonbeam - powiedział pan Conine. - Stały bywalec plaży.

- Aha - odparł Pete. - No, skoro tu jest tak ciekawie w powszedni dzień, za nic nie chciałbym stracić święta. Głosuję za paradą!

- Ja również - oświadczył Jupiter Jones. - Prawdę mówiąc, nie mogę się jej doczekać!

Rozdział 2

Dziedziniec Syreny

Następnego dnia Trzej Detektywi nie doszli jeszcze na plażę, gdy rozległ się ostry huk - eksplozja lub strzał. Pete aż podskoczył.

- Co to było?

- Uspokój się - powiedział Jupe. - Zapomniałeś, że jest Czwarty Lipca? To tylko fajerwerk.

Pete zmieszał się.

- Ach, tak. Oczywiście. Wszystko przez to, że to takie zwariowane miejsce.

Miejsce było istotnie zwariowane, a w każdym razie niewiarygodnie zatłoczone. Na promenadzie panował ścisk. Wszędzie kłębił się tłum pieszych i jeżdżących na wrotkach. Setki dzieci przepychało się w ciżbie. Setki starych ludzi z tubkami lodów w rękach chroniło się pod parasolami. Toczyły się liczne wózki z niemowlętami. Psy uganiały się pojedynczo i w stadach. Grajkowie uliczni fiukali i brzdąkali. Na placykach przylegających do Nadbrzeżnej stały ciężarówki z rozłożoną na platformach dziwną garderobą, którą handlowali dziwnie wyglądający osobnicy.

Bob wziął swój aparat fotograficzny i pstrykał po drodze zdjęcia. Sfotografował pannę Moonbeam, kobietę w fioletowej sukni, gdy tańczyła przy dźwiękach akordeonu, na którym grał człowiek z bajecznie kolorową papugą na ramieniu.

Idąc Nadbrzeżną chłopcy napotkali obdartego mężczyznę, który pchał wózek sklepowy, wyładowany pustymi butelkami i puszkami. Za nim biegły truchtem dwa kundle. Zatrzymywały się posłusznie, ilekroć ich pan przystawał przy koszach na śmieci i grzebał w nich.

- To Fergus - odezwał się ktoś za plecami chłopców.

Był to Conine, starszy pan, którego poznali poprzedniego dnia.

- Fergus jest dość niezwykłym człowiekiem. Prosta, dobra dusza, o jakich się czasem słyszy. Może niezbyt bystry, ale nie ma w nim krzty zła. Wszystkim, co ma, dzieli się ze swymi psami. Dzieci go uwielbiają. Poobserwujcie go trochę, a sami zobaczycie.

Przyglądali się człowiekowi zwanemu Fergusiem, gdy człapał w poprzek chodnika w stronę ławki stojącej przy nadbrzeżnej kawiarni. Usiadł i wydobył ustną harmonijkę. Psy przysiadły przed nim z nadstawionymi uszami.

Fergus zaczął grać. Grał cicho, z początku zbyt cicho, by ktoś mógł go usłyszeć, lecz

nagle pojawiły się wokół niego dzieci. Podchodziły cicho po dwoje lub troje i przykucały, tworząc półkole.

Detektywi mimo woli zaczęli słuchać nieznannej melodii z równym przejęciem, co dzieci.

Mały koncert trwał tylko kilka minut. Potem Fergus schował harmonijkę i odszedł, wlokąc za sobą wózek i psy. Dzieci rozbiegły się.

- Zawsze tak się dzieje? - zapytał Jupiter. - Zawsze przychodzą dzieci?

- Zawsze - odparł pan Conine.

Chłopcy poszli naprzód, a pan Conine im towarzyszył. Na plaży, a nawet na promenadzie wciąż eksplodowały fajerwerki. Gdy doszli w pobliże księgarni, dostrzegli Todda stojącego na skraju dziedzińca. Pies kręcił się koło niego. Chodził ostrożnie, na sztywnych łapach i chłopcy zorientowali się, że musi być porządnie stary.

- Ten chłopczyk jest znowu sam - powiedział Pete.

- Nic mu się nie stanie, Tiny jest z nim - odparł pan Conine. - Todd jest najważniejszy dla tego psa, zaraz po soczystej kości. Nikomu nie dałby go tknąć. Gdyby tylko mógł uchronić Todda od kłopotów... - pan Conine nie skończył zdania.

- Założę się, że Todd często pakuje się w masę kłopotów - podjął Bob.

- Tak - przyznał pan Conine. - Jest żywy, ma wyobraźnię i nudzi się w księgami. Regina jest wdową i nie stać jej na opiekunkę do dziecka. Tak więc Todd spędza tu całe dnie, goniąc psy i koty sąsiadów i wymyślając sobie zabawy. Czasem jest Supermanem, czasem Lukiem Skywalkerem. Jestem pewien, że jego matka nie może doczekać się września, gdy rozpocznie szkołę.

Chłopczyk znudził się już oglądaniem tłumu na promenadzie. Detektywi spostrzegli, że bawi się teraz piłką, którą odbijał o spróchniałą ścianę rozpadającego się budynku w głębi dziedzińca. Stary, trzykondygnacyjny budynek wyglądał dość dziwnie na tle nowo dobudowanych do niego po obu stronach skrzydeł sklepów.

- Co to jest, ten stary dom? - zapytał Bob pana Conine'a. - Wygląda, jakby miał jakąś ciekawą przeszłość.

- Istotnie ma. To stara gospoda "Syrena". Stąd cały ten kompleks zwany jest Dziedzińcem Syreny. Powinieneś doprawdy sfotografować gospodę, jeśli piszesz pracę o zmianach dokonujących się w tej okolicy.

Bob robił zdjęcia, a Pete i Jupe w tym czasie rozglądali się po dziedzińcu, którego nie mieli czasu obejrzeć poprzedniego dnia. Dziedziniec otwierał się na zachód, co dawało ze starego hotelu pełen widok na ocean. Wzdłuż północnego boku biegł dwukondygnacyjny

budynek, którego parter zajmowały sklepy. Pierwszym był "Mól Książkowy", następnym sklep z latawcami o nazwie "Skrzydła Ikara", dalej mniejszy sklepik - "Klejnocik". Na jego wystawie leżały kamienie, minerały i ręcznej roboty srebrna biżuteria. W rogu, między sklepem z kamieniami a hotelem, znajdowały się schody, wiodące do galerii "Syrena", mieszczącej się tuż nad sklepem z kamieniami.

- Właściciel galerii to czarujący pan Burton - powiedział pan Conine. - Mielicie okazję poznać go wczoraj, kiedy wydzierał się na Todda. Do niego należy cały Dziedziniec Syreny wraz z hotelem. Mieszka obok galerii, nad księgarnią.

Chłopcy przeszli do zwiedzania kolejnych zabudowań dziedzińca. Gospoda "Syrena" zajmowała całą jego wschodnią stronę. Od południa zamykało go drugie dwukondygnacyjne skrzydło sklepów i mieszkań. Z hotelem sąsiadowała duża kawiarnia "Orzech", a od strony oceanu znajdował się sklep z nićmi, wełną i przyborami tkackimi "Ciepły puszek".

Sam dziedziniec był starannie utrzymany, z chodnikiem wyłożonym płytami, trawnikiem, fontannami i donicami kwiatów. Przed kawiarnią "Orzech" na tarasowym podwyższeniu rozstawiono stoliki. Uwijał się tam chudy, czarnowłosy młody człowiek. Zbierał właśnie naczynia na tacę. Miał ziemistą cerę i wygląd człowieka, który nie mył się i nie spał od dłuższego czasu. Na tarasie był teraz również Todd. Skakał na ziemię poniżej, znowu wchodził na taras, skakał i tak w kółko. Tiny przysiadł opodal i patrzył z oddaniem na swego młodego pana.

- Hej, ty! Dzieciak! - krzyknął gniewnie młody człowiek z tacą. - Dość tego!

Todd z urażoną miną wycofał się w stronę księgami.

- Ten facet nie musiał się na niego wydzierać - powiedział Pete. - Todd nie robił nic złego.

- Mooch Henderson nie umie się zachować - przytaknął pan Conine. - Tony i Marge Gould, którzy prowadzą kawiarnię, nie mają szczęścia w dobieraniu pracowników.

- Czy pan Burton jest właścicielem również tego budynku? - zapytał Bob, wskazując kawiarnię.

- Tak. Jak widzicie, oba skrzydła są zupełnie nowe. Tylko gospoda jest częścią starej Wenecji. Została zbudowana w 1920 roku, kiedy to miejscowość zaczęła się rozwijać. Wenecja miała być miejscem pokazowym i wyglądała wspaniale. Miała kanały niemal jak Wenecja we Włoszech. Ludzie z Hollywoodu przyjeżdżali tu na weekendy. Zatrzymywali się w "Syrenie" i zażywali morskich kąpiel. Później zrobiło się modne spędzanie weekendów w Malibu i Wenecja zaczęła z wolna podupadać. Do gospody nikt już nie przyjeżdżał, wreszcie zabito ją deskami. Kiedy Clark Burton kupił tę posiadłość i postawił nowe budynki, byliśmy

pewni, że odnowi także gospodę. Ale nigdy tego nie zrobił.

- Clark Burton! - wykrzyknął nagle Jupiter. - Aktor! Wiedziałem, że skądś go znam, gdy go wczoraj zobaczyłem.

- Aktor? - powtórzył Pete. - Nigdy o takim nie słyszałem.

- Tak, Burton jest aktorem - powiedział pan Conine - ale od lat nie gra w filmach. Z pewnością od czasów, kiedy przyszliście na świat. Skąd go znasz, Jupiterze? Z telewizji?

- Jupe jest nałogowym kinomanem - odpowiedział Bob. - Chodzi na stare filmy wyświetlane w małym kinie w Hollywoodzie. Pete uśmiechnął się ironicznie.

- Jupe sam był gwiazdorem filmowym, był znany jako Mały Tłuscioch!

Pan Conine wyglądał na zaskoczonego.

- Mój Boże! Więc to ty byłeś Małym Tłusciochem? No, no!

Jupe spłonął rumieńcem. Nie cierpiał, gdy mu przypomiano jego aktorską przeszłość.

Czym prędzej zmienił temat:

- Mówił pan, że Clark Burton prowadzi tę galerię? - zapytał, wskazując piętro północnego skrzydła.

- Tak. Sprzedaje ceramikę artystyczną, obrazy i wyroby ze srebra. A tam - pan Conine wskazał balkon biegnący nad kawiarnią i pasmanterią w południowym skrzydle - są dwa mieszkania. Ja zajmuję to przy gospodzie, w drugim, z widokiem na ocean, mieszka panna Peabody. O, właśnie nadchodzi. To miła pani, choć trochę zasadnicza.

Sąsiadka pana Conine'a miała co najmniej siedemdziesiąt lat. Schodziła wolno po schodach wiodących z balkonu, trzymając się poręczy. Była w sukni zbyt długiej jak na obowiązującą modę i w kapeluszu z rondem przybranym różowymi różami.

- Dzień dobry, panno Peabody - przywitał ją pan Conine. - Zechce pani poznać moich młodych przyjaciół. Jupiter, Pete i Bob.

- Jupiter! - powiedziała. - Co za interesujące imię. Nieczęsto się je słyszy.

- Chłopcy pracują nad szkolnym zadaniem - wyjaśniał pan Conine.

- Studiują zmiany zachodzące w Wenecji.

- W całej Wenecji? - zapytała panna Peabody. - Czy tylko na Dziedzińcu Syreny?

Bob zdziwił się.

- Czy tak dużo można by się dowiedzieć o Dziedzińcu Syreny?

- Więcej niż ci się zdaje - odparta panna Peabody. - Hotel, z którego zniknęła Francesca Fontaine, to właśnie stara gospoda "Syrena". Bob i Pete nie mieli pojęcia, o czym kobieta mówi.

- Och, mój Boże! - wykrzyknęła. - To rzeczywiście było dawno. A więc Francesca

Fontaine była aktorką. Zatrzymywała się tu często w czasach, gdy Wenecja była elegancką miejscowością. Pewnego niedzielnego ranka wstała i wyszła z gospody, by popływać. Zanurzyła się w oceanie i więcej jej nie widziano.

Jupe zmarszczył czoło.

- Zdaje się, że słyszałem tę historię.

- Bez wątplenia. To jedna z legend Hollywoodu. Ponieważ nie znaleziono ciała, zaczęły się szerzyć plotki. Jedni mówili, że Fontaine popłynęła dalej wzdłuż plaży, wyszła z morza i pojechała do Phoenix w Arizonie, gdzie żyła z hodowcą drobiu. Inni twierdzili, że przekradła się z powrotem do gospody i zastrzeliła się w swoim pokoju z powodu jakiejś strasznej choroby, na jaką zapadła. Coś nieuleczalnego. Nieuleczalne choroby były modne w owych czasach.

- Mówią, że w hotelu straszy i że jest to duch Franceski Fontaine - dodał pan Conine. - Jestem skłonny w to uwierzyć.

- Nonsens! - obruszyła się panna Peabody.

- Ktoś jest w hotelu - powiedział pan Conine cicho, lecz stanowczo. - Widuję światło w oknach nocą. A ponieważ nikt tam nie wchodzi ani nie wychodzi, ktoś musi tam stale przebywać. Myślę, że Clark Burton wie o tym i dlatego hotelu nie wyremontował i nie otworzył ponownie.

- Boi się ducha? - zapytał Bob.

- Nie - odpowiedziała panna Peabody. W jej oczach pojawił się złośliwy błysk. - Po prostu nie widział w tym żadnej okazji do rozgłosu. Clark Burton lubi być w centrum uwagi. Ale jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej, idźcie z nim porozmawiać. Jest teraz w swojej galerii.

Bob nosił w pamięci obraz Burtona urządzającego awanturę małemu Toddowi.

- Ja... hm... nie chciałbym mu przeszkadzać - wyjąkał. - Może jest zajęty.

- Nigdy nie jest aż tak zajęty, żeby nie móc mówić o sobie! - oświadczyła panna Peabody. - Jest kiepskim aktorem, a uwielbia zwracać na siebie uwagę. Powiedzcie mu tylko, że zamierzacie umieścić jego nazwisko w waszej pracy, a zobaczycie, co będzie.

Po tych słowach skinęła im głową i poszła do kawiarni. Pan Conine uśmiechnął się.

- Idźcie - zachęcił chłopców. - Do rozpoczęcia parady macie jeszcze trochę czasu.

Chłopcy przeszli z wolna do schodów po północnej stronie dziedzińca. Bob wahał się przez chwilę, po czym wziął głęboki oddech i zaczął się wspinać na górę. Nie spieszo mu było do spotkania z gburowatym panem Burtonem. Czy na nich też nakrzyczy?

Rozdział 3

Kłopot!

Galeria "Syrena" była pomieszczeniem o wysokim sklepieniu i białych ścianach. Gdy chłopcy weszli do środka, rozległ się dźwięk dzwonka. Nieśmiało rozglądali się wokół. Zobaczyli rzeźby z hebanu i drzewa różanego, barwne tkaniny, obrazy i przeszklone gabloty z piękną ceramiką. Tu i tam dostrzegli też czary i wazony ze srebra lub kolorowego szkła.

Na podwyższeniu przed dużym oknem obok drzwi stała porcelanowa figurka syreny. Statuetka miała nie więcej niż jakieś sześćdziesiąt centymetrów wysokości. Mała, półludzka istota przedstawiona była w pozie figlarnej. Roześmiana, unosiła się na swym rybim ogonie, trzymając w wyciągniętej ręce muszelkę.

- O co chodzi? - odezwał się Clark Burton.

Stał za kontuarem w tylnym rogu. Kontuar sięgał mu do pasa i odgradzał małe pomieszczenie z umywalką, szafkami i schowkiem na miotły. Burton spoglądał na chłopców nieprzyjaźnie.

Bob pomyślał o wycofaniu się na schody. Ten człowiek był dokładnie tak gburowaty, jak Bob przewidywał. Jupe jednak wysunął się naprzód i przybrał swą najbardziej okazałą postawę.

- Jestem Jupiter Jones - powiedział z godnością. - Spotkaliśmy się przelotnie wczoraj, w niezbyt przyjemnych okolicznościach, gdy małego Todda przyprowadzono do domu. Dziś wróciłem tu wraz z przyjaciółmi, gdyż interesuje nas to miejsce. Interesuje nas również pan, panie Burton.

Jupiter czasami zaskakiwał dorosłych. Czasami nawet ich onieśmiał. Pana Burtona chyba rozbawił. Mężczyzna wyszedł ze swego kąta z igrającym na wargach uśmiechem.

Jupiter zignorował reakcję Burtona i ciągnął:

- Mój przyjaciel Bob pisze pracę o osiedlach miejskich znajdujących się w trakcie przeobrażeń. Mówiono nam o pana udziale w zmianach dokonujących się w Wenecji.

- Aha - powiedział Burton. - Tak, to prawda. Mogę poświęcić wam kilka minut. Siadajcie.

Wskazał stojące pod ścianą krzesła. Chłopcy usiedli. Burton usadowił się wygodnie naprzeciw nich. Zaczął mówić z rozwagą, jakby powtarzał z pamięci słowa przez kogoś mu napisane.

- Od dawna interesował mnie Dziedziniec Syreny. Zwykłem bywać w Wenecji i

zażywać tu morskich kąpeli na długo przedtem, nim ta miejscowość stała się popularna. Nie było tu wtedy ścieżki dla rowerzystów, nie było butików. Stały tylko małe domy nadbrzeżne, chylące się ku ruinie, a kanały były zadławione chwastami.

Gdy wystawiono na sprzedaż gospodę "Syrena", zasięgnąłem informacji. Cena nie była wygórowana, kupiłem więc hotel wraz z przylegającym do niego terenem. Jako młody chłopiec byłem miłośnikiem Franceski Fontaine i podniecała mnie myśl, że będę właścicielem miejsca, w którym spędziła swą ostatnią noc.

Tu popatrzył pytająco na chłopców.

- Wiecie o Francesce Fontaine?

- Tak, proszę pana - odpowiedział Bob.

- Gdy kupiłem tę posiadłość, był tu jedynie hotel i puste podwórze otoczone płotem. Wybudowałem dwa boczne skrzydła, które zamknęły podwórze, i poleciłem to podwórze zazielenić. Chcę, żeby tu było ładnie, skoro tu mieszkam. Obecnie odwiedzają nas licznie nie tylko plażowicze, lecz urbaniści, artyści, architekci, ludzie, którzy pragną dokonać tu zmian, każdy w swojej dziedzinie.

Burton zdawał się wielce z siebie zadowolony.

- Pewnego dnia - kontynuował - Wenecja stanie się tym, czym zawsze wszyscy chcieli ją widzieć. Oczyszczi się zaniedbane tereny i będziemy tu mieli naprawdę elegancką miejscowość. Dziedziniec Syreny będzie wart miliony!

Urwał, a Jupiter zapytał:

- A co z gospodą? Zamierza ją pan odnowić?

- Jeszcze nie wiem - odparł Burton. - Jest w okropnym stanie. Właściwie powinno się ją zburzyć. Ale była tak wspaniała swego czasu, że nie miałbym serca jej zniszczyć.

- Zdaje się, że słyszę paradę - dodał spoglądając przez otwarte drzwi. - Czy udzieliłem wam wyczerpujących informacji?

Najwyraźniej chciał się ich pozbyć, podziękowali mu więc i wyszli.

Dziedziniec był pusty. Wszyscy stali stłoczeni na ulicy. Dobiegały hałaśliwe dźwięki trąbek, bębnów i fletów.

Chłopcy przyłączyli się do widzów. Fajerwerki eksplodowały teraz tylko na plaży. Parada się zaczęła. Nie przypominała żadnej, jaką dotąd oglądali. Nie było orkiestr szkolnych z dziewczętami-doboszami. Zamiast nich maszerowali ludzie w kostiumach kąpielowych i trykotach gimnastycznych, w dżinsach, w hinduskich sari i kaftanach. Jakiś mężczyzna w turbanie maszerując grał na cymbałkach. Inny z maszerujących prezentował się wręcz wspaniale w szafranowej szacie z naszytymi na niej okruchami luster. Chłopcy zrozumieli, że

po prostu każdy, kto miał ochotę, paradował w pochodzie.

Bob fotografował, ile tylko się zmieściło na rolce filmu. Parę kroków dalej stała Regina Stratten, trzymając Todda na barana. Naprzeciwko, na swojej ulubionej ławce stał pan Conine.

Niebawem Todd zażądał, by go mama postawiła na ziemi. Od razu zaczął się przepychać przez tłum w stronę dziedzińca.

- Żebyś mi się nie zbliżał do okien pana Burtona! - wołała za nim matka. - I Tiny ma być z tobą!

- Okay - zgodził się Todd i odbiegł, a pies powłókł się za nim.

Parada trwała nadal. Wyjątkowo tego dnia zezwolono na przejazd samochodów przez Nadbrzeżną. Otwarte kabriolety wiozły ludzi z tablicami, które reklamowały miejscowe sklepy i wyroby. Inne samochody ciągnęły małe platformy sponsorowane przez miejscowe organizacje. Starsze panie w letnich sukienkach niosły transparent z napisem: Stowarzyszenie Seniorów "Wichrowy Zieleniec". Dalej maszerowała młodsza grupa w koszulkach z nadrukiem wzywającym do kontroli czynszów w Wenecji. Po jakimś czasie Jupe'a dobiegł głos Reginy Stratten:

- Gdzie jest Todd?!

Przecisnęła się między widzami i weszła na Dziedziniec Syreny. Po paru minutach była z powrotem.

- Tato?! - wołała. - Tato, gdzie jesteś?!

Charles Finney przepychał się przez tłum.

- Nie mogę znaleźć Todda - powiedziała, gdy się zbliżył.

Poklepał ją po ramieniu.

- Nie martw się. Przecież Tiny z nim jest. Nic mu się nie stanie.

Ale Regina była niespokojna i wróciła wraz z ojcem na dziedziniec. Jupiter poszedł za nimi.

Regina wołała i wołała, ale ani Todd nie odpowiedział, ani nie przybiegł Tiny.

Charles Finney zaglądał do sklepów. Clark Burton pojawił się na swym balkonie. Tony Gould, właściciel kawiarni, wyszedł na taras. Żaden z nich nie widział Todda.

- Przepadł! Znowu uciekł! - wołała Regina wystraszona i zła zarazem.

Tak więc Jupiter, Pete i Bob po raz drugi ruszyli na poszukiwanie chłopca. Podobnie jak poprzedniego dnia zaglądali w alejki, przetrząsali krzaki i żywopłoty. Szło im niesporo z racji tłumów i parady, która zdawała się nie mieć końca. Byli już w piątej lub szóstej przecznicy od Dziedzińca Syreny, kiedy przysiedli na odpoczynek na stopniach jakiejś

rudery.

- Dzieciak zdążył pewnie wrócić bezpiecznie do księgarni - powiedział Bob. - Może by tam pójść i sprawdzić?

- Właśnie - przytaknął Pete. - Albo przyłączył się do parady i świetnie się bawi, a nam to wszystko ucieka.

Jupe nie odzywał się. Patrzył z irytacją przed siebie.

Wreszcie Bob się podniósł i podszedł do dużego pojemnika na śmieci, stojącego opodal rudery. Zajrzał do środka.

- Och, nie! - wykrzyknął.

- Co? - zapytał Pete. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Bob z odwróconą twarzą stał przy pojemniku. Był bardzo blady.

- Tam w środku jest pies. Myślę, że to Tiny i... chyba jest martwy.

Rozdział 4

Złowieszcze przypuszczenia

Chłopcy wrócili biegiem po Reginę Stratten i jej ojca. Oboje zidentyfikowali psa. To był Tiny. Regina z niepokojem odchodziła od zmysłów.

Teraz zabrano się do systematycznych poszukiwań Todda Strattena. Do wieczora dwunastu policjantów szukało dziecka. Krążyli samochodami patrolowymi po Nadbrzeżnej. Spenetrowali na piechotę wszystkie drogi i alejki w pobliżu plaży. Pukali do domów i wypytywali mieszkańców.

Bob, Pete i Jupiter czekali na tarasie kawiarni przy Dziedzińcu Syreny. Towarzyszył im bardzo zgnębiony pan Conine. Późnym popołudniem przyłączyła się do nich panna Peabody.

- Okropna historia - powiedziała.

- Och, panno Peabody, proszę tak nie mówić! - odezwał się Pete. - Oczywiście, okropne, że pies nie żyje, ale to nie znaczy, że Todd nie jest zdrow i cały.

- Nie jest zdrow i cały - powiedziała panna Peabody. - Todd i Tiny byli nierozłączni. Gdyby ktoś zaatakował Tiny'ego, Todd by się wydzierał wniebogłosy, i gdyby ktoś krzywdził Todda...

Potrząsnęła głową.

- Tak - podjął Jupiter - gdyby ktoś usiłował wyrzucić krzywdę Toddowi, Tiny rzuciłby się na niego. A wówczas ten ktoś mógłby uderzyć psa.

- Policja uważa, że Tiny mógł zostać potrącony przez samochód - powiedział Bob. - Mógł to być tylko przypadek. Może kierowca wrzucił psa do śmietnika, żeby uniknąć kłopotów.

- Więc dlaczego Todd nie przybiegł do domu? - zapytał Jupiter. Właśnie Charles Finney wyszedł z księgami, a za nim Regina. Twarze mieli blade i ściągnięte troską. Jeśli rozglądać się po Nadbrzeżnej, to w lewo, to w prawo. Robiło się późno i tłum się przerzedził. Z bocznej ulicy wyjechał samochód i zatrzymał się przed Dziedzińcem Syreny. Wysiedli dwaj mężczyźni, jeden z nich niósł ręczną kamerę.

- Ludzie z telewizji! - powiedział pan Conine. - Czyżby zamierzali przeprowadzić wywiad z Reganą? Tak. Teraz wtargną w jej prywatne życie do reszty.

Obserwowali z tarasu, jak jeden z mężczyzn, w kurtce i granatowych spodniach, mówił coś do pani Stratten, trzymając przed nią mikrofon. Zauważyli, że im więcej mówił,

tym bardziej jej rysy wykrzywiała się. Wreszcie zaczęła płakać.

Pojawił się Clark Burton. Zszedł ze schodów wiodących do jego galerii i zbliżył się do Reginy, Objął ją opiekuńczo ramieniem.

- Zgrywa się przed kamerą - zauważyła panna Peabody. - Zawsze dobrze to robił, o ile wiem.

- Pani go nie lubi, prawda? - zapytał Jupe.

- Nie lubię - prychnęła. - To snob, próżny, egocentryczny i zawsze się zgrywa.

- Droga panno Peabody, cóż za wzruszająca charakterystyka - powiedział pan Conine.

- Zaledwie ją zaczęłam - odparła.

Tymczasem Burton całkowicie przejął wywiad. Mówił i mówił, podczas gdy Regina stała smutno z boku. Gdy wreszcie reporter odwrócił się i wyciągnął do niej mikrofon, umknęła do księgarni.

- Biedactwo - powiedziała panna Peabody.

Gdy wreszcie reporterzy telewizyjni odjechali, chłopcy postanowili wyruszyć w drogę powrotną do domu. Mijając księgarnię, dostrzegli w głębi płaczącą Reginę.

Wiedziony impulsem, Jupe wyjął z portfela wizytówkę i wszedł do sklepu.

- Chcielibyśmy pomóc, jeśli to możliwe - powiedział i podał jej kartę. - Proszę tylko zatelefonować pod ten numer i przyjedziemy. Wiem, że policja robi co może, ale jeśli tylko przyjdzie pani na myśl...

Zostawił zdanie nie dokończone. Regina patrzyła na kartę wizytową Trzech Detektywów, która wyglądała następująco:

<p style="text-align: center;">TRZEJ DETEKTYWI Badamy wszystko ??? Pierwszy Detektyw Jupiter Jones Drugi Detektyw Pete Crenshaw Dokumentacja i analizy Bob Andrews</p>
--

- Rozwiązaliśmy wiele niezwykłych zagadek, z którymi nie mogli się uporać doświadczeni zawodowcy - powiedział Jupiter z dumą.

- Odkrywaliśmy nieraz rzeczy, których policja nie umiała wykryć - wtrącił stojący za Jupe'em Pete.

- Tak - powiedziała Regina - przypuszczam, że dzieciaki potrafią odkryć rzeczy, z którymi nie mogą sobie poradzić dorośli. Ale tym razem zostawmy to policji. Jestem pewna,

że go znajdą. Todd po prostu zaszył się gdzieś i zasnął. W każdym razie mam nadzieję, że tak się stało.

Ale w jej głosie nadziei nie było.

Do Rocky Beach chłopcy wracali w zapadającym zmierzchu. Cały czas myśleli o zaginionym dziecku i o martwym psie w pojemniku na śmieci.

- Nie mam odwagi pomyśleć, kto lub co zabiło tego biednego psa - odezwał się Pete ponuro. - Ani dlaczego.

- Prawdopodobnie był to jakiś nieodpowiedzialny kierowca - powiedział Bob. - Ktoś, kto nie śmiał stanąć przed właścicielem psa.

- Ciekaw jestem... - powiedział Jupiter, ale nie dodał nic więcej. Tegoż wieczoru o dziesiątej Jupiter oglądał dziennik telewizyjny wraz z ciotką Matyldą i wujkiem Tytusem, z którymi mieszkał. Nadawano właśnie lokalne wiadomości i pierwszym doniesieniem wieczoru była sprawa zniknięcia Todda Strattena.

Dziennikarz, który tego popołudnia odwiedził Dziedziniec Syreny, podawał szczegóły zajścia. Potem Jupe zobaczył moment, gdy usiłowano przeprowadzić wywiad z Reginą Stratten. Natychmiast na ekranie pojawił się Clark Burton. Wyglądał bardzo przystojnie i zdawał się być szczerze przejęty.

- My wszyscy tutaj, przy Dziedzińcu Syreny, modlimy się o powrót Todda Strattena - mówił nabożnie. - To rozkoszny malec i jego sąsiedzi pragną, by wrócił do nich czym prędzej, zdrów i cały.

- Dziwne - powiedziała wpatrzona w ekran ciocia Matylda. - Clark Burton wygląda tak młodo, a musi być dobrze posunięty w latach. Pewnie bardzo dba o siebie.

- Albo operacyjnie usunięto mu zmarszczki - zaśmiał się wujek Tytus.

Obraz na ekranie zamigotał i pojawił się dziennikarz przy biurku w studio.

- Do obecnej chwili nie odnaleziono Todda Strattena - mówił. - Ktokolwiek posiadałby informacje, mogące naprowadzić na jego ślad, proszony jest o skontaktowanie się z policją pod numerem telefonu, który podajemy teraz na ekranie. Todd ma pięć lat, wzrost około metra, ostatnio widziano go w dżinsach i trykotowej koszulce w czerwone i niebieskie paski. Pokazano zamazaną fotografię Todda. Następnie dziennikarz przeszedł do innych wiadomości.

- Biedna ta matka - powiedziała ciocia Matylda. - Musi odchodzić od zmysłów.

Oboje z wujkiem Tytusem poszli do sypialni i Jupiter został sam ze swoimi myślami. Jak mógł Todd zniknąć tak nagle, nawet w miejscu zatłoczonym i szalonym, jakim była Wenecja? Z całą pewnością ktoś go widział, gdy opuszczał Dziedziniec Syreny!

Do następnego rana Todda nie odnaleziono. Po śniadaniu Jupiter pomógł cioci Matyldzie uprzątnąć naczynia. Potem poszedł do składu złomu po drugiej stronie ulicy. Było to przedsiębiorstwo, które prowadzili wujostwo. Na jego terenie znajdowała się stara przyczepa kempingowa. Nie nadawała się już do sprzedaży i chłopcy przekształcili ją w Kwaterę Główną ich zespołu detektywistycznego. Dla ukrycia jej przed wścibskimi oczami, spiętrzyli wokół złom i zbudowali sekretne wejścia i tunele. W środku urządzili sobie biuro oraz maleńkie laboratorium i ciemnię fotograficzną. Jupe kupił używany mikroskop i wyreperował aparat fotograficzny. Posiadali szafkę na dokumentację, którą prowadził Bob, i półkę wypełnioną książkami, z których czerpali potrzebne informacje. Co najważniejsze, mieli tu także telefon, który opłacali z pieniędzy zarobionych różnymi pracami w składzie.

Tego rana, gdy tylko Jupe wszedł do Kwatery Główniej, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i dobiegł go wezbrany łzami głos Reginy Stratten.

- Halo! Czy to Jupiter Jones?

- Tak, pani Stratten - odparł Jupe.

- Och, dobrze! Słuchaj, mój tatuś szukał Todda przez całą noc i policja też, i nic... i nic nie znaleźli. Wiem, że wszyscy się starają, ale myślałam, że może... może...

- Może nie zaszkodzi, żeby trzy osoby więcej szukały? - powiedział Jupe.

- Właśnie, nie zaszkodzi.

- Zatelefonuję po moich przyjaciół i natychmiast wyruszamy do Wenecji.

Jupe nie był pewien, co Detektywi mogą zrobić. Ale wiedział jedno - jakoś pomogą!

Rozdział 5

Trudny wywiad

Regina Stratten była sama w księgarni. Miała podkrążone oczy i ręce jej drżały.

- Żadnych wiadomości - powiedziała. - Żadnego śladu. Nic. Policja wciąż przeszukuje sąsiedztwo. Ach, i robią sekcję zwłok Tiny'ego. Nie wiem dokładnie po co.

Jupe zastanowił się.

- Sekcja zwłok wykaże przyczynę zgonu. Może wykazać, czy Tiny został zabity przypadkowo, czy rozmyślnie. Jeśli, na przykład, do rany przyłgnęły odpryski farby, prawdopodobnie potrafił go samochód. Jeśli ustalą, że Tiny zginął przypadkowo, wtedy ani jego śmierć, ani zniknięcie Todda nie będzie wyglądało tak groźnie.

- Tak, ale jaki to ma związek z odszukaniem Todda? - powiedziała Regina.

- Będziemy wiedzieli więcej, a każda, nawet najdrobniejsza informacja jest pomocna - odparł Jupe. - Teraz proponuję, żebyśmy wraz z przyjaciółmi spróbowali dowiedzieć się, gdzie ostatnio tu, na terenie Dziedzińca Syreny, widziano Todda.

- Tutaj? - zdziwiła się Regina. - Ależ policja wypytała już wszystkich. Co za sens robić to znowu?

- Po pierwsze - odpowiedział Jupe - musimy sami dowiedzieć się wszystkiego. Po drugie, ktoś mógł sobie przypomnieć o czymś, czego nie powiedział policji. A po trzecie, to jedyne logiczne postępowanie. Wszyscy widzieli wczoraj Todda wchodzącego na dziedziniec. Ktoś musiał widzieć, jak wychodził. Czy nie mam racji?

- Chyba tak - powiedziała Regina.

Trzej Detektywi przystąpili do pracy. Zaczęli od rozmowy z wysokim, chudym mężczyzną, który prowadził sklep z latawcami. Nazywał się Leo Andersen. Zauważył Todda wchodzącego poprzedniego dnia na dziedziniec i więcej go potem nie widział.

- Wszedłem ze sklepu i poszedłem w stronę ulicy, żeby popatrzeć sobie na paradę - mówił. - Todd przeszedł koło mnie z Tinym. Nigdy nie rozstawał się z Tinym.

- Czy zostawił pan sklep otwarty? - zapytał Jupiter. - Czy chłopiec mógł tu wejść frontowymi drzwiami i wyjść tylnymi?

Andersen potrząsnął głową.

- Widzisz zatrask na tylnych drzwiach? Żeby wyjść, Todd musiałby go otworzyć, a żeby do niego sięgnąć, musiałby stanąć na krześle. Zauważyłbym więc, chyba że Todd odstawił krzesło na miejsce, a wierzcie mi, Todd nie odstawiał niczego na miejsce. Nigdy!

Właścicielka sklepu z kamieniami, panna Alhea Watkins, odpowiedziała podobnie. Nie było jej w sklepie w czasie parady, ale była pewna, że ani Todd, ani nikt inny nie mógł tam wejść pod jej nieobecność. Sklep był bowiem zamknięty na klucz.

- Nierozsądnie jest zostawiać drzwi otwarte w pobliżu plaży - mówiła. - Zbyt wielu rabusiów. Zresztą, czy to ma znaczenie, którzy Todd opuścił dziedziniec? Był tak szybki. Mógł wyjść od frontu i przecisnąć się przez tłum.

- Staramy się tylko iść jego śladem - odparł Jupe. - Gdybyśmy znaleźli kogoś, kto widział Todda lub psa, mogłoby nam to pomóc. Panna Watkins wzdrygnęła się na wzmiankę o psie.

- Co za niegodziwiec zabił psa i wrzucił do śmietnika? Obrzydliwe.

- Nie wiemy dotąd, kto lub co zabiło Tiny'ego - powiedział Jupe. - Gdyby sobie pani przypomniała coś jeszcze, proszę zatelefonować do nas - dodał i wręczył kartę wizytową.

Chłopcy zostawili pannę Watkins z jej posępnymi myślami i udali się do pasmanterii naprzeciw.

Pani Kerinovna, właścicielka sklepu, była spokojną, jasnowłosą kobietą. Nie widziała Todda poprzedniego dnia i nie opuszczała swego sklepu.

- Mogłam oglądać paradę przez okno - wyjaśniła. - To wspaniały kraj. Ludzie sobie maszerują i mówią, co chcą, nawet rzeczy, które mogą się nie podobać komuś tak ważnemu jak policja, i to jest w porządku. Nie widziałam Todda. Ogromnie mi żal jego mamy. Pewnie się bardzo niepokoi.

W kawiarni kilka osób siedziało przy kawie i ciastkach. Obsługiwał właściciel, Tony Gould. Gdy chłopcy zaczęli go wypytywać, zabrał ich spieszenie do kuchni, gdzie krzątała się jego żona, Marge.

- Todd nie wchodził tu wczoraj - powiedział. - Czasami próbował wycygnąć od nas ciastko czy herbatniki, ale ostatnio przeganiał go.

- Nie chcieliśmy, żeby mu się zęby popsuty - wtrąciła Marge Gould.

- Tak więc nie widzieliście go po rozpoczęciu parady? - spytał Jupe.

- Nie, byłem zajęty. Sprzątałem ze stolików, bo Mooch, który powinien to robić, zniknął. Zdarza mu się to często.

Trzej Detektywi podziękowali Gouldom i poszli naprzeciw do galerii "Syrena". Zastali jej właściciela w nieprzychylnym nastroju.

- Dlaczego wypytujecie o Todda Strattena? - pytał. - Podobno zbieracie materiały do pracy szkolnej.

- To robiliśmy wczoraj - odpowiedział Jupe. - Dziś staramy się pomóc pani Stratten.

- Policja pomaga pani Stratten - powiedział Burton. - Wiadomo, że robią to dobrze.

Jupe wyciągnął portfel, wyjął jedną z kart wizytowych Trzech Detektywów i podał Burtonowi.

- Pani Stratten uważa, że my również możemy pomóc.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Burton po przeczytaniu wizytówki.

- Udało nam się wyjaśnić wiele dziwnych i tajemniczych spraw - dodał Jupe z przekonaniem.

- Zapewne - powiedział Burton pojednawczo. - Dobrze. Nie chcę, by uważano, że nie jestem chętny do współpracy. Co chcecie wiedzieć?

- Staramy się iść tropem wczorajszej wędrowki Todda - odparł Jupiter. - Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli odtworzyć jego drogę od samego początku. Czy może widział go pan wczoraj po rozpoczęciu parady?

- Nie, nie widziałem i myślę, że trafiać kula w płot. Cokolwiek się stało dziecku i jego psu, nie stało się tutaj. Jak pamiętacie, pies został potrącony przez samochód. Po Dziedzińcu Syreny nie jeżdżą samochody.

- Racja - przyznał Jupe. - Tym niemniej, czy to nie dziwne, że Todd wszedł na dziedziniec w czasie parady i nikt go więcej nie widział?

- Niespecjalnie - odparł Burton. - Todd to ruchliwy dzieciak i wszędzie go było pełno.

- Czy mógł przyjść tutaj? - pytał Jupiter. - Widzę, że są tu tylne drzwi. Czy mógł wejść tu na górę, przejść przez galerię i wyjść tylnymi drzwiami?

Jupiter precyzyjnie się do tylnych drzwi. Otworzyły się pod dotknięciem, a za nimi ukazały się schody prowadzące na zaplecze budynku. Był tam parking, który wychodził na ulicę Przelotową, biegnącą równolegle do Nadbrzeżnej. Wbrew swej nazwie była wąska, marnie wybrukowana i zatłoczona samochodami, które posuwały się jeden za drugim, dotykając się zderzakami, gdy kierowcy rozglądali się za miejscem na postój. Jupe zamknął drzwi.

- Nie używa pan zasuwy?

- Zasuwa ją na noc, kiedy zamykam sklep - odpowiedział Burton. - W ciągu dnia wciąż biegam do garażu lub śmietnika i ciągłe zasuwanie byłoby uciążliwe.

Jupe skinął głową i przeszedł do frontowych drzwi, gdzie czujnik elektryczny uruchamiał dzwonek. Jupe przesunął rękę na jego wysokości i dzwonek zadźwięczał.

- Czujnik jest niemal na wysokości pasa - powiedział. - Todd mógł przejść poniżej, nie uruchamiając dzwonka. Podobnie jak Tiny. Jeśli wyszedł pan na chwilę, mogli wbiec do środka.

Burtonowi twarz zastygła na moment, po czym uśmiechnął się.

- To tak się tu dostał w zeszłym tygodniu i zostawił na gablotach lepkie odciski palców.

- Nigdy pan nie zauważył, że można tu wchodzić i wychodzić nie włączając czujnika?

- zapytał Jupe z niedowierzaniem.

- Nnn... nie pomyślałem o tym - odpowiedział Burton. Tymczasem Pete kręcił się po galerii. Gdy znalazł się przy podwyższeniu przed dużą szybą wystawową, poczuł rozczarowanie. Podwyższenie było puste.

- Sprzedał pan syrenę! - wykrzyknął.

- Nie, nie sprzedałem. Została... - Burton urwał. - Myślę, że ktoś ją wczoraj ukradł, kiedy byłem zajęty. Dwukrotnie zdarzyło się, że było tu zbyt wiele osób. Doprawdy nie wiem, dlaczego skradziono akurat syrenę. Niejedna rzecz w tej galerii jest bardziej wartościowa.

- Zapewne - wtrącił Jupiter.

- Tyle nieodpowiedzialnych ludzi przychodzi tu na plażę - mówił Burton. - Jak na przykład kierowca, który potrafił tego psa, a następnie wrzucił go do śmietnika.

- Jeśli tak się rzeczywiście stało - powiedział Bob. - Robią dla pewności sekcję zwłok.

- Tak?

Zapadła cisza, jakby Burton oczekiwał, że chłopcy powiedzą więcej. Skoro jednak milczeli, rzekł:

- Jeśli to wszystko, byłbym...

Jupiter wpadł mu w słowo.

- A co z hotelem? Czy Todd mógł się tam dostać? Może jest tam jakieś otwarte okno lub wyłamany zamek?

- Z pewnością nie - odparł Burton. - Miejsce jest zabezpieczone. Pilnuję tego. Nie życzę sobie tam włóczęgów, którzy mogliby wzniecić jakiś pożar.

- Czy policja przeszukała wczoraj hotel? - pytał z uporem Jupe.

- Oczywiście. Jak tylko otworzyłem drzwi nabrali pewności, że nikt tam nie wchodził od lat.

- Ale czy przeszukali?

Burton nagle się rozzłościł.

- Dość tego! - krzyknął. - Jak długo czas mi na to pozwalał, brałem udział w tej zabawie w detektywów. Czeka na mnie praca. Jeśli pozwolicie, chciałbym się wziąć do niej.

Chłopcy zaczęli więc wychodzić, ale nie zdążyli zejść z połowy schodów, gdy Burton

ich zawołał.

Odwrócili się.

Stał w drzwiach. Złość już mu przeszła. Wyglądał staro i mizernie.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem was urazić. Straciłem cierpliwość, bo to wszystko jest dla mnie trudne. Kiedy byłem chłopcem, miałem przyjaciela, który pewnego dnia zaginął. Po prostu nie wrócił do klasy po dużej przerwie. To było w stanie Iowa, gdzie się urodziłem. Poszliśmy go szukać i to ja go znalazłem. Za miastem były stare kamieniołomy. Woda wypełniła dół i tam leżał mój przyjaciel. Utonął.

- Przykro mi - powiedział Jupiter.

Zeszli na dziedziniec. Na tarasie kawiarni popijała kawę panna Peabody.

- No wreszcie! - zawołała. - Czekam na was. Chcę wam coś pokazać.

Rozdział 6

Przykre słowa

Panna Peabody przywołała Tony'ego Goulda.

- Pora na obiad i ci chłopcy muszą umierać z głodu - powiedziała. - Zjedzą razem ze mną. Myślę, że hamburgery. Mnie tego jeść nie wolno, ale kiedy jest lepiej z moim trawieniem, uwielbiam te wszystkie wspaniałości.

- Cztery hamburgery - powiedział Tony Gould i odszedł spieszenie.

- Kiedy byłam mała, jeszcze młodsza od was, zjadałam tony taniutkich cukierków, lukrecji, dropsów i małych, różowych serduszek z wypisanymi na nich różnymi miłymi powiedzonkami. - Panna Peabody odchyliła się i zapytała: - A więc, co myślicie o naszym przyjacielu Clarku Burtonie?

Jupe zamrugał tylko oczami. Zmiana tematu była dość nagła.

- Staracie się pomóc Reginie Stratten, prawda? - ciągnęła panna Peabody. - Mówiła mi rano, że zamierza do was zatelefonować. Bardzo bym chciała, żebyście zdołali zrobić coś dla niej. To taka miła młoda osoba, a tak niewiele tu dobrze wychowanych ludzi. Większość jest wręcz nieucywiliżowana.

Panna Peabody obejrzała się. Z kawiarni wyszedł na taras Mooch Henderson i zabrał się do wycierania stołów mokrą szmatą. W słońcu wyglądał jeszcze bardziej mizernie. Na brodzie miał kilka czerwonych pryszczki i kępki rzadkiego zarostu. Jego dłonie były czyste, lecz ręce powyżej brudne, a trykotowa koszulka pod fartuchem wyświechtana i szara.

- Zastanawiam się czasem, czy komisja sanitarna wie o Moochu - powiedziała panna Peabody. - To jeden z nich.

- Jeden z jakich? - zapytał Bob.

- Tych nieucywiliżowanych - odpowiedziała i przysunęła się bliżej do Boba. - Mooch mieszka z bandą obdartusów w rozsypującej się ruderze, zaraz po drugiej stronie Przelotowej. Mogą być zdolni do wszystkiego. Tam jest jedna młoda kobieta, która...

Panna Peabody urwała. Zabrakło jej słów i zacisnęła usta w wąską linię.

- Co za ludzie! - prychnęła. - Trudno sobie wyobrazić, że mieli kiedykolwiek rodziców. Wzrastają gdzieś pod żywopłotem jak kapusta i kiedy są dostatecznie dorośli, przyjeżdżają do Wenecji.

Z kawiarni wyszedł Tony Gould z tacą zastawioną hamburgerami, frytkami i coca-colą. Obsłużył ich i odszedł. Mooch poszedł za nim do kawiarni.

- Todd miał zatargi z Moochem - powiedziała panna Peabody.

- Chyba nie sądzi pani, że to ma jakieś znaczenie? - zapytał Jupiter. - Niejedna osoba miała zatargi z Moochem, prawda? I przypuszczam, że niejednej osobie dał się we znaki Todd.

- Czy ja kogoś oskarżam? - powiedziała panna Peabody. - Nie zamierzam. Z pewnością nikt spośród tutejszych właścicieli sklepów nie ma nic wspólnego ze zniknięciem dziecka. Stałam przy oknie, gdy zaczynała się parada, i widziałam pana Andersona i tę kobietę, co lubi kamienie, pannę Watkins. Stali z frontu i przyglądali się paradzie. Widziałam także Clarka Burtona. Kręcił się tam i z powrotem między galerią a swoim mieszkaniem. Potem wbiegł Todd z Tinym.

- Ach! - Jupiter nastawił uszu. - Więc pani widziała Todda po tym, jak opuścił Nadbrzeżną. Co robił?

- Niewiele, póki patrzyłam. Potem zadzwonił czasomierz mego piekarnika i musiałam pójść wyjąć ciasto. Gdy wróciłam, Todd i Tiny albo już gdzieś wleźli, albo wrócili na Nadbrzeżną. W każdym razie nie było ich na dziedzińcu, ale był Mooch Henderson.

Mooch wrócił na taras i usłyszał ostatnie słowa panny Peabody, która nie zadała sobie trudu, żeby zniżyć głos. Spojrzał na nią spode łba.

- Gdzie byłem? - zapytał, podparłszy się pod boki.

Chłopcy zwrócili uwagę, że na jednej ręce, nad przegubem dłoni, miał bandaż.

- Wczoraj, w czasie parady, kiedy wyglądałam przez okno, zobaczyłam, jak wychodziłeś ze sklepu pana Andersena. Pomyślałam sobie, że to dziwne. Nigdy przedtem nie okazywałeś zainteresowania dla zabawek i latawców. Byłam zdziwiona, to wszystko. Ci chłopcy starają się pomóc Reginie Stratten w znalezieniu małego Todda i myślałam...

- Proszę się ode mnie odczepić! - krzyknął Mooch. - Nie mam nic wspólnego z tym dzieciakiem i pani o tym wie. Co pani sobie myśli? Że zwędziłem zabawkę i zwaбіłem go gdzieś na nią? Pani ma źle w głowie!

Na taras wyszedł Tony Gould. Popatrzył na Moocha podejrzliwie.

- Byłeś wczoraj w sklepie z latawcami? - zapytał.

- Zaszedłem tylko dowiedzieć się, ile kosztuje chiński latawiec. Ten na wystawie.

- Mam nadzieję, że tylko tyle - powiedział Gould.

- Co pan przez to rozumie? - obruszył się Mooch.

W tym momencie panna Peabody przystąpiła do ataku:

- Och, zraniłeś sobie rękę! Pies cię ugryzł, co? Słyszałam, jak rano mówiłeś o tym Marge Gould. Czy to był jeden z twoich psów?

- Wścibska stara baba! - głos Moocha był ochryply i skrzekliwy.

- Tak, jestem ciekawa - odpowiedziała panna Peabody tonem osoby wielce z siebie zadowolonej.

- Mam ochotę...

- Mooch! - przerwał ostro Tony Gould. - Przestań!

- Niech cię diabli, Gould! - wrzasnął Mooch. Zerwał fartuch, rzucił na taras i wybiegł. Tony Gould podniósł fartuch.

- Panno Peabody, pani czasem posuwa się za daleko - powiedział z przygnębieniem. - Ja również posunąłem się za daleko. Faktycznie nie wiem, czy Mooch poszedł wczoraj do sklepu z latawcami w złych zamiarach. Nie powinienem tego sugerować.

- Oboje jesteśmy podli, prawda? - odparła panna Peabody. - Tylko że ludziom na dziedzińcu ginęły różne towary, w pana kasie były braki i Mooch nie był idealnym pracownikiem. Oczekiwał, że będzie mu pan płacił za dni, w których nie przychodził do pracy. Sam mi pan to mówił. Zająłem się więc sprawą i nie musiał pan go nawet zwalniać.

- Chyba racja, ale mimo wszystko... - Gould potrząsnął głową i odszedł do kawiarni.

Panna Peabody uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Nawet jeśli się ma trudności ze znalezieniem pracownika, nie powinno się rezygnować z wymagań. A podobno Mooch przygarnia bezpańskie psy. Tak w każdym razie twierdzi.

- Bezpańskie psy? - powtórzył Pete. - Nic dziwnego, że został ugryziony.

- Tak, jeśli ten, który go pogryzł, rzeczywiście był bezpański - powiedziała panna Peabody.

Chłopcy patrzyli na nią w milczeniu.

- Przypuśćmy, że to nie był bezpański pies - ciągnęła. - Przypuśćmy, że to był pies, którego znamy, pies, który rzuciłby się na Moocha, gdyby ten zamierzał skrzywdzić jego małego pana. Mooch podobno potrafi postępować ze zwierzętami, jestem więc zdziwiona. Nigdy przedtem nie był pogryziony.

- To nam pani chciała pokazać, prawda? - zapytał Jupe. - Bandaż na ręce Moocha? Skinęła głową.

- To jest... jest niemal pewne, że to przypadek - powiedział Jupe.

- Oczywiście - panna Peabody ze złośliwym uśmieszkiem popijała zimną kawę. - A wasza wizyta u Clarka Burtona przebiegła miło?

Ponownie zmieniła temat rozmowy i Jupe spodziewał się, że do czegoś zmierza. Czekał.

- Przypuszczam, że usiłował wyrzucić na was dobre wrażenie - ciągnęła. - Robi to zawsze. Wczoraj, gdy pojawiła się tu telewizja, przybiegł w te pędy. Zauważyliście to zapewne.

- Tak - powiedział Jupiter. - Może starał się pomóc. To zdarzenie musiało w nim obudzić okropne wspomnienia. Czy pani wie, że w dzieciństwie miał przyjaciela, który wybrał się do kamieniołomów i tam utonął?

- Przyjaciela? - Panna Peabody wytarła serwetką swe wąskie usta. - Wiem o tym, ale jestem niemal pewna, że chodziło o jego braciszka. No cóż, mogę się mylić. Najedliście się, chłopcy?

Przytaknęli i podziękowali za poczęstunek. Pożegnała ich i poszła w kierunku schodów wiodących do jej mieszkania nad pasmanterią.

Pete gwizdnął.

- Rany, straszna baba!

Na dziedzińcu pojawił się obszarpaniec w zbyt dużym ubraniu. Popychał wózek sklepowy. Biegły za nim dwa kundle. Przy stopniach wiodących na taras kazał im usiąść. Zostawił z psami wózek i wszedł do kawiarni.

Po paru minutach wrócił, z papierową torbą w ramionach. Tony Gould wyszedł na taras i patrzył za odchodzącym obdartusem.

- Stary Fergus musiał znaleźć prawdziwy skarb w którymś śmietniku - powiedział. - Kupił u mnie towar za całe osiem dolarów. Zerknął w stronę mieszkania panny Peabody.

- Strzeżcie się starszej pani - ostrzegł chłopców. - Jak kogoś lubi, jest dobrym przyjacielem, w przeciwnym razie staje się niebezpiecznym wrogiem. Dobierze się wam do skóry jak nic!

Tony odszedł, a Pete skomentował:

- Rzeczywiście dobrała się do tego faceta, Moocha.

- Tak - powiedział Jupiter - Mooch, który przygarnia bezpańskie psy i podobno umie z nimi postępować, zostaje pogryziony przez psa.

A Todd zaginął i ostatnio widziano go z psem. Następnie znajduje się tego psa martwego.

- Czuję, że trzeba będzie sprawdzić Moocha - odezwał się Pete. - Mam rację?

- Zrujnowany dom jest zaraz po drugiej stronie Przelotowej - powiedział Bob. - Chodźmy.

Rozdział 7

Złodziej daje nura

Trzej Detektywi znaleźli bez trudu dom, w którym mieszkał Mooch Henderson. Gdy tylko przeszli na zaplecze gospody "Syrena", skąd widać było Przelotową, zobaczyli Moocha, siedzącego na frontowych stopniach budynku. Był to narożny dom, zwrócony przodem w stronę bocznej uliczki, tak więc Mooch nie widział młodych detektywów. Oddzielał ich parking i tam ukryli się za jednym z samochodów. Przez jakiś czas obserwowali Moocha i stary dom, ale nic się nie działo. Potem nadszedł szybko jakiś człowiek z psem, którego prowadził na kawałku sznura do bielizny. Podwórze starego domu odgradzał od Przelotowej płot, wybuchł teraz za nim jazgot i ujadanie.

Mooch zerwał się.

- Zamknąć się tam! - wrzasnął.

Przechodzień skręcił w boczną uliczkę i podszedł wraz ze swym psem do Moocha.

- Czego? - warknął Mooch.

Człowiek z psem był w średnim wieku, łysy, w grubych okularach, o łagodnym obejściu. Drgnął na grubiańską odżywkę Moocha i cofnął się o krok.

- Po... podobno przygarniasz bezdomne psy - powiedział. - Przyprowadziłem go do ciebie. Wałęsał się na targowisku przy plaży i starał się dostać do śmietników. Jest głodny.

Mooch popatrzył szacujące na psa.

- Kundel! - powiedział.

- Tak - przytaknął mężczyzna. - Tym niemniej...

- Za kogo mnie pan bierze? - przerwał mu Mooch. - Towarzystwo opieki nad zwierzętami?

Mężczyzna był zupełnie zbity z tropu.

- Ale mówiono mi, że lubisz psy i...

- Skończ pan z tym! - powiedział Mooch. - Są psy i psy, a ten tu to katastrofa, nie pies. Niech pan go zaprowadzi do schroniska albo zostawi na targowisku, tylko nie próbuj mi pan go wpakować!

Mężczyzna wycofał się i odszedł Przelotową, a kundel dreptał mu po piętach.

Nagle ze starego domu dobiegł pełen ironii głos:

- Patrzajcie na wielkiego miłośnika zwierząt!

- Dobrze, skończ z tym - powiedział Mooch.

Na ganek wyszła ciemnowłosa dziewczyna. Wyglądała jak jedna z wrotkarek, gdyż nosiła fioletowy trykot i czarne pończochy. Wokół wycięcia przy szyi połyskiwały cekiny. Włosy miała odgarnięte do tyłu przepaską, na której mieniły się kolorowe kamyczki.

- Ty blagierze! - zawołała. Nie starała się zniżyć głosu i chłopcy słyszeli każde jej słowo. - Kłamałam dla ciebie, ale nie zrobię tego więcej.

- Czy możesz mówić ciszej? - odezwał się Mooch.

- Gliny tu były w sprawie tego małego chłopca, co zaginął, i byli ciekawi, co tam te wszystkie psy robią na podwórzu. Więc kłamałam. A ty odprawileś tego faceta. Co on sobie pomyślał? Czy pies musi mieć papiery z Amerykańskiego Klubu Kynologicznego, żeby tkwić na twoim podwórku?

- Przymknij się - warknął Mooch. - Skończ z tym, bo cię...

- Nie groź mi! - krzyknęła. - Jeśli gliny wrócą, mnie już tu nie będzie. Nigdy nie miałam ambicji, żeby zostać współwinną.

Weszła z hukiem do domu. Przez otwarte okno dobiegał stukot jej kroków po drewnianej podłodze. Chłopcy słyszeli też szuranie gwałtownie otwieranych szuflad. Niebawem znów ukazała się na ganku. Przepaska na jej głowie nadal iskrzyła się zawadiacko, ale trykot był okryty długim płaszczem z szerokimi rękawami.

- Hej, słoneczko - zaczął Mooch.

- Bywaj - powiedziała i pomknęła uliczką w stronę Alei Pacyfiku. Płaszcz powiewał za nią. Dźwigała słomkową torbę, wyładowaną jej dobytkiem. Przez ramię miała przewieszony wrotek.

Mooch Henderson patrzył za nią. Potem odwrócił głowę i dostrzegł przyglądających mu się chłopców.

- A wy czego chcecie? - zawołał.

Jupe zdecydował się pójść na całego. Przeciął Przelotową i podszedł do frontowych stopni starego domu. Bob i Pete ruszyli za nim.

- Zastanawiam się, czy mógłbyś nam pomóc - zaczął Jupe. - Jak wiesz, prawdopodobnie...

- Bawicie się w detektywów i węszyćcie dookoła - dokończył Mooch. - Od tego miejsca trzymajcie się z daleka, bo napuszczę na was moje psy. Na dziś mam dość bzdur, rozumiesz?

Zbiegł ze schodów i potrącając Jupe'a przeszedł na chodnik. Następnie oddalił się w tym samym kierunku, co dziewczyna w fioletowym trykocie.

- Chodźmy za nim - powiedział Jupiter.

- Pewnie! - podchwycił Pete. - Ta dziewczyna powiedziała, że nie chce zostać współwinną. To oznacza, że on robi coś nielegalnego. - Ruszył w stronę Alei Pacyfiku.

- Czekaj - zawołał za nim Bob. - Ktoś jeszcze jest w domu.

Chłopcy nasłuchiwali. Z domu dobiegł ich męski głos. Po chwili zamilkł, a potem znowu dał się słyszeć.

- Ktoś rozmawia przez telefon - powiedział Bob. - Wy dwaj idźcie za Moochem. Ja zostanę i zobaczę, co będzie.

To było rozsądne. Jupe i Pete pobiegli truchtem ku Alei.

Mooch Henderson szedł spieszenie Aleją Pacyfiku na południe. Zmierzał ku przystani i terenom, gdzie stały nowe bloki mieszkalne. Jupe i Pete podążyli za nim, utrzymując spory dystans.

W odległości dobrego kilometra od Dziedzińca Syreny Mooch wszedł do małego sklepu.

- Niech to diabli! - zaklął Pete. - On nigdzie dalej nie idzie. Robi po prostu zakupy.

- Może tak, a może nie - powiedział Jupe.

Weszli na parking przed sklepem. Zobaczyli Moocha przez oszklone drzwi. Wyjął coś z lodówki z mięsem i poszedł prosto do kasy.

Jupe i Pete ukryli się spieszenie za stojącym na parkingu samochodem. Mooch wyszedł ze sklepu i skierował się ponownie na południe. Skręcił wreszcie w boczną ulicę, do jednej z położonych nad przystanią restauracji. Miała nazwę "Zajazd Przemysłowców" i wyglądała wcale okazale. Na parkingu stały porsche, cadillaki i jaguary. Mooch krążył po parkingu, zatrzymując się od czasu do czasu i kopiąc w opony samochodów.

- To złodziej samochodów! - wykrzyknął Pete. - Wybiera sobie najlepsze opony!

- Nie sądzę - powiedział Jupe. - Patrz!

Mooch zatrzymał się w pobliżu otwartego kabrioletu. W środku siedział bernardyn, uwiązany smyczą do kierownicy. Pies i Mooch patrzyli jakiś czas na siebie. Potem Mooch przemówił do psa.

Pies stanął na siedzeniu samochodu i zaczął kręcić ogonem. Mooch sięgnął do torby z zakupami i wyciągnął do psa rękę z kawałkiem mięsa. Bernardyn powąchał, polizał i wreszcie pożarł mięso.

- Chce ukraść tego psa! - szepnął Pete.

Jupe nie odpowiedział. Obserwował Moocha, gdy ten dawał psu następny kawałek mięsa, a potem dalsze.

Po kilku minutach Mooch i pies byli już zaprzyjaźnieni. Mooch otworzył drzwi

samochodu i zaczął odwiązywać smycz od kierownicy.

Tego było Pete'owi za wiele. Puścił się pędem przez parking i przesadził dwa stopnie, wiodące do restauracji. Wpadł do małego, ciemnego przedsionka, a stamtąd do jasnej sali jadalnej. Zatrzymał się w progu i krzyknął:

- Kto jest właścicielem bernardyna?! Psa, który siedzi w kabriolecie?! Jakiś facet go kradnie!

W głębi sali rumiany mężczyzna podniósł się z krzesła. Minął Pete'a i jak błyskawica wypadł z przedsionka.

Mooch szedł już ulicą. Pies dreptał radośnie koło niego, wabiony dalszymi kawałkami mięsa.

Właściciel psa nawet nie próbował biec za Moochem. Włożył do ust dwa palce i gwizdnął.

Wielki pies zatrzymał się i odwrócił. Mężczyzna zagwizdał ponownie.

Pies rzucił się ku niemu w radosnych susach. Nagle stracił zainteresowanie dla Moocha i jego mięsa. Chciał tylko znaleźć się czym prędzej z tym cudownym człowiekiem, który był jego panem.

Mooch usiłował wypuścić smycz, ale nie mógł. Założył jej pętlę na przegub dłoni i gdy pies dał susa, zacisnęła się mocno. Krzyżąc, biegł za bernardynem, potem przewrócił się i pies ciągnął go za sobą.

- Hej! - krzyczał. - Hej! Stój!

W końcu smycz ześliznęła się z ręki Moocha. Z rozpędu potoczył się jak kłoda i wyrznął w latarnię.

Pies pogalopował przez parking i machając radośnie ogonem, witał się ze swoim panem.

Poturbowany i brudny Mooch wstał i zaczął się oddalać kulejąc. Na ulicy pojawił się nagle policyjny samochód patrolowy. Zjechał do krawężnika, wysiadł z niego policjant i zawołał do Moocha:

- Coś się stało?!

Mooch zaczął biec. Przeciął parking, popędził do przystani i gdy tylko dotarł do brzegu, bez wahania rzucił się z pluskiem do wody. Policjant stał i gapił się na pływającego zaciekle w otwarte morze mężczyznę.

Pete wysunął się zza właściciela psa i podszedł do Jupitera. Ten oparł się o mercedesa i śmiał się tak serdecznie, że aż łzy płynęły mu po twarzy.

- To było piękne, co? - powiedział Pete. - Pewnie to pierwsza kąpiel, jaką wziął od

tygodni!

Jupiter z trudem łapał oddech, śmiejąc się do rozpuku.

- Chodź! Wracajmy do Boba i tego wariackiego domu. Chichotał jeszcze przez całą drogę powrotną.

Rozdział 8

Targ niewolników

Bob czekał, wsparty o samochód, na parkingu po drugiej stronie Przelotowej. Rozmowa telefoniczna w starym domu ciągnęła się bez końca. Można było zwariować. Przez otwarte boczne okno domu Bob słyszał głos, ale nie łapał słów.

Czy podejść bliżej? Czy pójść i usiąść na frontowych stopniach domu? Czy może próbować dostać się na podwórze?

Wtem coś rozjuszyło psy i na podwórzu wybuchło dzikie ujadanie. Zbliżyć się do domu przez podwórze byłoby niemożliwością.

Ale była tam ciężarówka! Na brudnym podejździe z boku domu stał zakurzony, otwarty pikap. Stał przed płotem i tuż pod otwartym oknem.

Bob rozejrzał się na wszystkie strony, po czym przeciął ulicę i podszedł do samochodu od tyłu. Leżał na nim kłęb starych worków i kołder. Bez wątplenia służyły właścicielowi ciężarówki do zabezpieczania ładunku przed obijaniem. Były poplamione i pełne kurzu, ale Bob się nie wahał. Wdrapał się na platformę pikapa, wyciągnął się tuż pod otwartym oknem i przykrył kołdrą.

- Tak - mówił człowiek wewnątrz domu. Bob słyszał go teraz wyraźnie. - Tak, pewnie, ale facet to kawał wariata. Nie sposób przewidzieć, co zrobi. To jak siedzieć na beczce prochu. W każdej chwili może dojść do wybuchu! Rozglądam się więc za innym miejscem. Gliny były tu już dwa razy w tym tygodniu. Prędzej czy później się zorientują.

Nastąpiła przerwa, po czym człowiek, mocno zirytowany powiedział:

- Nie mów mi, że to nic wielkiego! Słyszałeś o psie w pojemniku na śmieci?

Bob zeszywniał pod kołdrą. Mowa była o Tinym!

- Dobrze - mówił dalej mężczyzna - nie jestem zły, ale nie mam zamiaru tutaj tkwić. Słuchaj, muszę już iść zarobić trochę forsy. Bez względu na to, co postanowię, będę potrzebował gotówki.

Zapadła krótka cisza, a potem:

- Słusznie. Zawsze jest targ niewolników.

Bob zmarszczył czoło, zaintrygowany. Targ niewolników?

Dosłyszał brzdęk odkładanej słuchawki. Leżał wciąż, łamiąc sobie głowę nad tym, co usłyszał, gdy trzasnęły drzwi frontowe i rozległy się kroki.

Bob znieruchomiał pod kołdrą, żywiąc nadzieję, że nieznajomy po prostu pójdzie

gdzieś sobie. Lecz nagle drzwi szoferki otworzyły się ze zgrzytem i ktoś wszedł do wozu. Zaterkotał starter, zawył silnik. Ciężarówka zadygotała. Po chwili toczyła się podskakując po podjeździe i zjechała na ulicę.

Ogarnięty paniką Bob pomyślał, że musi wyskoczyć w biegu. Potem jednak uspokoił się i zaczął rozważać sytuację. Człowiek za kierownicą ciężarówki musi być współlokatorem Moocha. Mówił o niebezpieczeństwie, niewątpliwie ze strony Moocha Hendersona. Mówił o martwym Tinym w kubie na śmieci. Czy wiedział coś o Toddzie? Czy wiedział coś Mooch? Zdecydowanie w obu było coś podejrzanego.

Bob postanowił zostać tam, gdzie był. Zobaczy, co zamierza zrobić ten człowiek i dokąd jedzie. Dowie się, co to jest ów tajemniczy targ niewolników. Być może da to jakąś poszlakę w sprawie Todda. A jeśli zostanie odkryty na platformie ciężarówki, po prostu ucieknie. Od czasu do czasu zerkał spod kołdry. Widział ulice, sklepy, ale niczego nie poznawał.

W końcu ciężarówka zatrzymała się i motor zgasł. Karoseria sieknęła, gdy wysiadł kierowca.

Bob spiął się w sobie, gotów w razie potrzeby do skoku.

Kierowca nie podszedł jednak do platformy ciężarówki. Przeciwnie, odgłos jego kroków oddalił się. Bob słyszał szum natężonego ruchu ulicznego. Podniósł się i wyjrzał z platformy. Dostrzegł szeroką jezdnię, po której nie kończącym się strumieniem jechały samochody osobowe i ciężarówki. Ulica obrzeżona była małymi, brzydkimi budynkami fabrycznymi i ozdobionymi stiukiem domami o płaskich dachach. Na chodniku stała grupa rozmawiających cicho ludzi. W większości byli to rośli mężczyźni w drelichowych ubraniach. Niektórzy nosili ciężkie buciory, niektórzy kaski ochronne. Byli mieszaniną ras - czarni, brązowi, orientalni i Anglosasi.

Do krawężnika podjechał samochód i kilku z grupy podeszło porozmawiać z kierowcą. Bob wykorzystał to odwrócenie uwagi. Wyśliznął się spod kołdry, zeskoczył na ulicę i oddalił się od ciężarówki.

Jakieś sto metrów dalej znalazł niski murek i usiadł na nim. Stąd przyglądał się ciekawie scenie opodal.

Samochody podjeżdżały dość często do krawężnika, a ich kierowcy rozmawiali z którymś z oczekujących na chodniku mężczyzn. Od czasu do czasu kierowca i czekający dochodzili do jakiegoś porozumienia. Wówczas odjeżdżali razem albo ten drugi jechał za pierwszym swoim samochodem lub ciężarówką.

Jeden z mężczyzn podszedł do Boba i usiadł koło niego na murku. Westchnął ze

znużeniem.

- Za młody jesteś, żeby tu być - powiedział do Boba. - Czekasz na pracę czy co?

Bob wystraszył się.

- Ja... ja sobie spacerowałem i... i poczułem się zmęczony, i usiadłem, żeby odpocząć.

Ci ludzie szukają pracy?

Mężczyzna skinął głową.

- Ano właśnie. W tym miejscu odbywa się targ niewolników. Nigdy o tym nie słyszałeś?

- Nie. Co to jest? Nazywa się okropnie.

Mężczyzna zaśmiał się.

- Nie jest takie złe, jak się nazywa. To po prostu miejsce, gdzie przychodzą faceci potrzebujący pracy. Ludzie przychodzą tu ze wszystkich stron i jak ktoś szuka człowieka do takiej czy innej roboty, też tu przyjeżdża. Potrzebujesz robotnika do mycia ścian, jedziesz na targ niewolników. Masz ogród do skopania, ktoś stąd ci to zrobi. Takie tam prace różnego rodzaju.

Krzepki, młody człowiek w drelichowej koszuli i poplamionych farbą dżinsach odłączył się od grupy i podszedł do ciężarówki. Tej, na której dopiero co ukrywał się Bob. Otworzył drzwi szoferki i wziął z siedzenia paczkę papierosów, po czym wrócił do pozostałych. A więc to jest współlokator Moocha Hendersona, pomyślał Bob.

Do krawężnika podjechał niebieski buick. Wysiadł z niego jakiś człowiek i objął spojrzeniem grupę na chodniku. Był smukły, dobrze zbudowany, miał siwe, krzaczaste wąsy. Nosił jasnoszare spodnie i ciemną koszulę oraz czapkę żeglarską, która dodawała mu wytworności. Oczy ukryte miał za ciemnymi okularami.

- Widzisz tego faceta? - odezwał się towarzysz Boba. - Przychodzi tu dość regularnie. Zawsze najmuje kogoś z ciężarówką.

Przybysz skinął na współlokatora Moocha Hendersona i przez krótką chwilę rozmawiali. Potem współlokator Moocha skinął głową i poszedł do swojej ciężarówki. Odjechał za wąsatym jegomościem.

- Widziałeś? - zapytał towarzysz Boba. - Dobili targu.

Bob skinął z nieuwagą głową. Czuł okropne rozczarowanie. Miał nadzieję, że jego bohaterska podróż ciężarówką przyniesie coś ważnego - odpowiedź na pewne dręczące pytania. Czy to Mooch zabił Tiny'ego? Co jego współlokator wie o Toddzie? Jakie poczynania Moocha wystraszyły tak jego towarzyszy?

Tymczasem - żadnych odpowiedzi na te pytania. Zamiast tego dowiedział się jedynie,

że targ niewolników to miejsce, gdzie można znaleźć dorywczą pracę.

Bob wstał i ruszył przed siebie. Na rogu ulicy była tabliczka. Znajdował się na La Brea, wiele kilometrów od plaży. Będzie późno, nim tam dotrze z powrotem. Czy Bob i Pete będą na niego czekali? Jakie będą mieli nowiny w sprawie Todda Strattena?

Rozdział 9

Jak w filmie

- Gdzieś ty był?! - wykrzyknął Pete Crenshaw.

Wraz z Jupe'em czekał na Dziedzińcu Syreny. Krążyli po nim zaniepokojeni i zdenerwowani. Gdy wreszcie Bob się pojawił, Pete odczuł taką ulgę, że aż się rozzłościł.

- Oj, przepraszam - powiedział Bob. - Ale nie mogłem wam zostawić wiadomości. Zaryzykowałem i pojechałem z tym facetem, współlokatorem Moocha.

Opowiedział im urywki rozmowy telefonicznej, którą podsłuchał, i jak dał się zawieźć w miejsce zwane targiem niewolników.

- Słyszałem o targu niewolników - powiedział Jupiter. - Zdaje się, że nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Tyle że wiemy teraz, że przyjaciele Moocha Hendersona są bez stałej pracy. Mogliśmy się zresztą tego domyślić. Ale facet napomknął o psie w pojemniku na śmieci! I boi się. I dziewczyna, która opuściła dziś stary dom, też się bała. Czy Mooch walczył z Tinym? Czy rana od ugryzienia ma jakieś znaczenie?

- Nie myślisz chyba, że Todd jest w tym starym domu? - przeraził się Pete. - Gdyby Mooch zamierzał uprowadzić Todda... - urwał i potrząsnął głową. - Nie. Wprawdzie jego współlokatorzy wyraźnie chcieli uniknąć kłopotów, ale gdyby Todd był w tym domu, zwiewaliby tak, że by się za nimi kurzyło. Nie, moim zdaniem Todda tam nie ma. Ale że te psy to nie są zwykłe przybłądy, mogę się założyć.

- Możliwe, że trzyma te psy po to, żeby brać za nie okup - powiedział Jupe, po czym opowiedział Bobowi o nieudanej kradzieży bernardyna koło przystani, ucieczce Moocha i skoku do wody.

Pete chichotał.

- Trzeba ci było widzieć tego typu, kiedy wreszcie wrócił do domu. Mokry, ubłocony, istne nieszczęście. Ale miałem radochę!

Jupe uśmiechał się z roztargnieniem.

- Myślę, że na dziś zrobiliśmy wszystko, co było można - powiedział. - Ale coś jeszcze trzeba sprawdzić w Kwaterze Głównej. Wracamy do domu!

Chłopcy wyprowadzali swe rowery ze stojaka przed księgarnią, gdy od plaży nadszedł Clark Burton. Na ich widok wyraz głębokiego zatroskania pojawił mu się na twarzy.

- Są może jakieś nowiny? - zapytał.

- Nie, proszę pana - odparł Jupe. - Jeszcze nie.

W drzwiach księgarni stanęła Regina Stratten.

- Tak mi przykro, Regino - zwrócił się do niej Burton. - Staraj się nie zamartwiać. Wiesz, jak Todd lubi przygody. Pewnie się gdzieś chowa i udaje, że jest Johnem Silverem, zbiegłym na bezludną wyspę.

- Nie czytałam mu jeszcze tej książki - odpowiedziała Regina.

- Nie czytałaś? No to może jest Kubusiem Puchatkiem na wyprawie do bieguna północnego. Albo Buckiem Rogersem w drodze na inną planetę. On ma taką bujną wyobraźnię. Lepsza zabawa na niby, niż żeby leżał gdzieś... hm... hm...

Burton zamilkł i po raz pierwszy zdawał się być zmieszany. Chłopcy wiedzieli, że zamierzał powiedzieć "leżał gdzieś martwy lub ranny".

Regina wpiła w niego wzrok. Była bardzo blada.

- Przepraszam - powiedział Burton - to było bardzo niezręczne. Ja... ja, być może, zbyt utożsamiam się z tym zajściem. Miałem braciszka, kiedy byłem dzieckiem, i on gdzieś zaginął. Zawsze głęboko współczuję rodzinom zaginionych dzieci. Wybacz mi, proszę.

Regina nie odpowiedziała. Po chwili Burton poszedł do swojej galerii na piętrze. Gdy chłopcy odjeżdżali, Regina wciąż stała w drzwiach, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń i łzy jej płynęły po policzkach.

Tego samego wieczoru po kolacji Pete i Bob spotkali się z Jupe'em w Kwaterze Głównej. Jupe przeglądał książki w bibliotece, celem, jak powiedział, odświeżenia wspomnień o pewnym starym filmie. Od czasów swej kariery aktorskiej Jupiter miał słabość do filmów. W bibliotece Trzech Detektywów było także kilka tytułów z historii filmu.

- Zeszłej wiosny - mówił - kino "Sundowner" w Hollywoodzie wyświetlało kilka starych filmów Barry'ego Breama. Pamiętacie Breama? Występował w serii "Detektyw Henry Hawkins".

Cierpiętny wyraz pojawił się na twarzy Pete'a.

- Jupe, nawet się jeszcze nie urodziłem, kiedy robiono te filmy!

- To nieistotny szczegół! - powiedział Jupe. - Filmy Breama to klasyka. Wciąż są pokazywane na festiwalach filmowych. Osią intrygi jednego z filmów Barry'ego Breama jest sprawa miliona dolarów, które winien odziedziczyć mały chłopiec. Chłopiec zostaje utopiony w jakiejś rozpadlinie w kamieniołomach, a wszyscy, którzy by po nim dziedziczyli, giną także, jeden po drugim.

- Utopiony w kamieniołomach? - zapytał Pete.

- Jak braciszek Clarka Burtona! - wykrzyknął Bob zaintrygowany.

- Lub towarzysz zabaw - powiedział Jupe. - Zależy, którą wersję historii opowiada.

Miałem moment déjà vu, wiecie, to dziwne uczucie, że przeżywa się coś po raz drugi. Chcę znaleźć jakieś fotosy z filmu Breama i zobaczę, czy mam rację.

- Jest - powiedział chwilę później i zdjął z półki zakurzoną książkę. Nosiła tytuł "Krzyk w ciemnościach". Przedmiotem jej były filmy zwane dreszczowcami i zawierała cały rozdział traktujący o filmach Barry'ego Breama.

Jupe przewracał kartki, zatrzymując się od czasu do czasu i przyglądając się zdjęciom.

- Ach! - wykrzyknął wreszcie. - Tu jest scena, w której kamerdyner znajduje ciało chłopczyka, unoszące się na wodzie.

Pete i Bob wpatrywali się w fotos ponad ramieniem Jupe'a. Grupa ludzi patrzyła ze zgrozą na unoszące się na wodzie ciało. Na fotosie przypominało ono lalkę, lecz Jupe pamiętał, że na filmie wyglądało prawdziwie. Aktor, grający kamerdynera, w pozycji klęczącej sięgał po ciało i Barry Bream, który grał detektywa Henry'ego Hawkinsa, powstrzymywał go. Za Breamem stało dwóch umundurowanych policjantów. Jeden z nich, młodziutki, prawie chłopiec, nie miał na głowie czapki, był bardzo przystojny i bardzo przejęty.

- Rany koguta! - wykrzyknął Pete. - To Clark Burton!

- Zgadza się - przytaknął Jupe. - Myślałem sobie, że pamiętam go z tego filmu. Musiał być jeszcze nastolatkiem lub miał najwyżej dwadzieścia lat.

- A więc kłamał! - powiedział Bob. - Nigdy nie miał braciszka ani zaginionego kolegi. Opowiadał tę historię, bo... bo...

Bob urwał,

- Tak, czyż to nie zastanawiające? - podjął Jupe. - Po co Burton opowiadał takie rzeczy? Chyba że historia starego filmu, poprzez jakiś rzadki zbieg okoliczności, istotnie zbiega się z wydarzeniem z jego życia.

- To byłby zbyt duży zbieg okoliczności - stwierdził Bob.

- Prawdopodobnie - zgodził się Jupe. - Jakie to dziwne, że kiedy postanowił kłamać, mniejsza dla jakich przyczyn, nie zdobył się nawet na oryginalne kłamstwo. Ukradł historię ze starego filmu.

- Wstrętne - powiedział Pete.

- Bob, byłoby dobrze zebrać wszystkie materiały z naszego dotychczasowego dochodzenia. Co mamy? - zapytał Jupe.

- Niewiele - odpowiedział Bob i zaczął kartkować notes, który wyjął z kieszeni. - Nikt, poza panną Peabody, nie widział Todda na Dziedzińcu Syreny podczas parady. Panna Peabody powiedziała, że kiedy Todd wszedł na dziedziniec, pan Andersen oraz panna

Watkins byli na Nadbrzeżnej, a pan Burton w swojej galerii. Tony i Morge Gould byli w kawiarni, ale nie widzieli nic, co mogłoby być pomocne. Mooch Henderson... - Bob podniósł wzrok znad swych notatek. - Tu mamy interesującego osobnika.

- To podejrzany? - zapytał Pete.

- O coś na pewno go podejrzewam - powiedział Jupe. - Tylko nie jestem pewien o co. W pierwszym rzędzie o kradzież psów.

Bob wrócił do swoich notatek.

- Wiemy także, że coś bardzo niepokoi współmieszkańców Moocha. A także, że Clark Burton kłamał. Ale dlaczego - nie wiemy.

- Może chciał sobie tylko zagrać - podsunął Pete.

Bob i Jupe popatrzyli na niego.

- To miał być dowcip? - zapytał Bob.

- Nie. Mój tato pracuje w studio filmowym przy efektach specjalnych i przebywa wiele z aktorami. Mówi, że niektórzy z nich, gdy nie grają, są kompletnymi zerami. Jakby byli puści w środku. Jedynie kiedy grają swoją rolę, nabywają jakiejś osobowości. Potrafią grać innych ludzi, ale nie potrafią być sobą. Więc ze wszystkiego robią grę, żeby... no chyba żeby ich zauważono. Gdyby nie grali, nikt by ich w ogóle nie zauważył.

- To możliwe - przyznał Jupe. - Clark Burton wciąż robi to, co zwykły robić gwiazdy filmu. Nadal pojawia się w programach telewizyjnych, chodzi na niektóre przyjęcia w Hollywoodzie, ale to wszystko, nie licząc handlu dziełami sztuki. Może jego życie jest tak nudne, że musiał po prostu zagrać w sprawie zniknięcia Todda. Przy tym tak mu zależy na robieniu dobrego wrażenia. W czasie rozmowy z nami dziś rano powiedział, że nie chciałby, by ktokolwiek sądził, że nie stara się pomóc. Naprawdę jest mu obojętne, czy pomoże, czy nie. Byle dobrze wypaść.

- To by tłumaczyło, dlaczego kłamał - powiedział Bob. - Nie powiem jednak, że bym przez to zaczął go lubić.

Telefon na biurku zaczął dzwonić. Jupiter podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Czy to Jupiter Jones? - rozległ się gardłowy, starczy głos.

- Panna Peabody! - zawołał Jupe zdziwiony. Szybko przełączył telefon na zmagistrowany przez siebie głośnik, aby wszyscy słyszeli rozmowę.

- Twój numer telefonu dostałam od Reginy Stratten - ostry głos panny Peabody dobiegał z głośnika czysto i wyraźnie. - Mam coś, co może cię zainteresować. Nie chcę iść na policję, oni muszą mieć nakazy, dokonywać różnego rodzaju czynności, nim przystąpią do

akcji. Chcę, żeby coś zrobiono natychmiast!

- Tak, proszę pani - wtrącił Jupe.

- Dziś wieczór - kontynuowała stara pani - gdy przechadzałam się Nadbrzeżną, zobaczyłam Clarka Burtona. Właśnie się ściemniało. Schodził tylnymi schodami ze swej galerii i niósł coś w worku.

Zamilkła, jakby oczekując ze strony Jupe'a wyrazów uznania czy zaciekawienia.

- Tak? - powiedział Jupiter.

- Zachowywał się tak, jakby się skradał, więc udawałam, że go nie widzę.

Odwrociłam się i patrzyłam na ocean.

- Oczywiście - powiedział Jupiter.

- Minął Dziedziniec Syreny i poszedł w stronę weneckiego mola. Pozwoliłam mu się znacznie oddalić. Zdaje się, że jest to stosowna metoda.

- Jeśli się kogoś śledzi, to tak - przyznał Jupe.

- Szłam za nim aż do mola - mówiła. - Wszedł na nie i zatrzymał się w połowie, jakby przyglądał się zachodowi słońca. Kiedy wracał, nie miał już worka. Rzucił go z mola!

- Rzucił? Panno Peabody, jaki to był worek? Juchtowy? Ile mógł ważyć? Czy mogłaby to pani określić?

- To nie było ciało Todda, jeśli to masz na myśli - odparła. - To była duża torba papierowa, taka, jaką dostaje się w supersamach. Nie niósł tego w sposób, w jaki niesie się osobę. Trzymał to z góry, jak walizkę.

- Rozumiem - powiedział Jupe.

- Więc co o tym myślisz? - zapytała.

- Myślę... myślę, że potrzebujemy trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić. Bardzo dziękuję pani za telefon. Ach... nie mówiła pani o tym pani Stratten, prawda?

- Oczywiście, że nie! - prychnęła. - Może się starzeję, ale nie postradałam rozumu!

Zakończyła rozmowę i Jupiter odłożył słuchawkę.

- Zawsze wiedziałem, że będę się cieszył, że nauczyłem się nurkować - powiedział Pete. - Zaczyna się coś dziać!

Rozdział 10

Podwodny horror

Worthington, dobry przyjaciel chłopców, zjawił się w składzie złomu wczesnym rankiem następnego dnia. Zajechał szarą furgonetką.

- Przyszło mi na myśl, że furgonetka będzie bardziej praktyczna, skoro pan Pete zamierza uprawiać pletwonurkowanie - powiedział. - Będzie miał gdzie się przebrać w suchą odzież.

- Worthington, z pana jest prawdziwy przyjaciel - powiedział Pete.

Worthington uśmiechnął się z rezerwą.

- Staram się.

Worthington był szalenie poprawnym angielskim szoferem. Trzej Detektywi zetknęli się z nim po raz pierwszy, kiedy Jupe wygrał w konkursie nagrodę, ufundowaną przez agencję "Wynajmij auto i w drogę". Jupe odgadł, ile fasoli znajduje się w słoju, i w nagrodę otrzymał w trzydziestodniowe użytkowanie zdobionego złoceniami rolls-royce'a. Tym luksusowym autem woził chłopców Worthington. Zafascynowały go przygody Detektywów i odtąd pomagał im rozpracowywać ich tajemnicze sprawy. Czuł się nieoficjalnym członkiem zespołu.

Po drodze, gdy jechali na południe autostradą Pacyfiku, chłopcy wprowadzili Worthingtona w szczegóły sprawy zaginionego dziecka.

- Czytałem naturalnie o zaginięciu chłopca - powiedział Worthington. - Czy nikt się nie domyśla, co się z nim mogło stać?

- Nie - odparł Jupiter. - Jest szereg możliwości. Być może Todd błąka się po prostu zagubiony, ale to mało prawdopodobne. Ktoś by go zauważył przez te dwa dni. Możliwe, że wpadł do jakiejś nieczynnej studni. Policja przeczesuje okolicę, sprawdzając miejsca, gdzie dziecko mogłoby się wspiąć lub gdzie mogłoby wpaść. Może tym sposobem odnajdą Todda.

- Lub też Todd został uprowadzony przez jakąś niegodziwą osobę na plaży. Jeśli to zaszło, obawiam się, że niewiele da się zrobić. Wtedy trzeba czekać, aż ktoś dostarczy jakiejś wskazówki. Ktoś z sąsiadów zobaczy może tę osobę z obcym dzieckiem i da znać na policję. Lub też policja znajdzie w swych kartotekach osobnika, który jest znany jako porywacz dzieci...

- Przypuszczam, że nie chodzi tu o uprowadzenie dla okupu - wtrącił Worthington.

- Nie. Regina Stratten i jej ojciec nie posiadają takich pieniędzy, żeby ktoś ryzykował

porwanie.

- Może Todd zobaczył coś, czego nie powinien, i został uprowadzony, żeby nie mógł o tym opowiedzieć - zastanawiał się Bob.

- Tak, może zobaczył, jak Mooch kradnie psy, i Mooch go zgarnął! - wykrzyknął Pete.

- Może dlatego jego współlokatorów tak zdenerwowały wizyty policji.

- Mooch to pewien przykry sąsiad - wyjaśnił Jupe Worthingtonowi, a do Pete'a powiedział: - Nie sądzę by trzymał Todda w tym domu. Ci współlokatorzy byłiby dużo bardziej spanikowani.

- Mógł ukryć go gdzie indziej - odparował Pete.

Jupe westchnął.

- To są wszystko czyste przypuszczenia. Potrzeba nam faktów. Nikomu nie przyszedł żaden do głowy i dalszą drogę do Wenecji odbyli w milczeniu.

Było jeszcze wcześniej, gdy dotarli do plaży. W szarym, przymglonym świetle robiła wrażenie opustoszałej. Po Nadbrzeżnej snuło się kitka osób, znużonych i wynędzniałych.

- Weselej tu później, w ciągu dnia - powiedział Jupe do Worthingtona. - Na razie, im mniej ludzi nas widzi, tym lepiej.

Worthington wjechał na parking w pobliżu mola. Pete zamknął się na chwilę w tyle furgonetki. Wyszedł stamtąd w kąpielówkach, uzbrojony w swój sprzęt nurka. Jupiter i Bob pomogli mu umocować zbiornik tlenu na plecach. Następnie Pete założył maskę i ustnik i wszedł do oceanu.

Oddalił się zaledwie o parę kroków, gdy Bob trącił Jupe'a łokciem, coś mu wskazując.

Na Nadbrzeżnej stał młody człowiek, który dzielił dom z Moochem. Oparty o kontuar kiosku z pizzą, zjadał samotne śniadanie, na które składała się pizza i lemoniada.

- Odrażające! - powiedział Worthington. - Pizza o tej godzinie!

Promenadą nadszedł, powłócząc nogami, śmieciarz zwany Fergusiem. Jak zwykle popychał wózek sklepowy i jego dwa wierne psy dreptały za nim. Zatrzymał się przy kiosku z pizzą i gestem dał znak sprzedawcy.

Współlokator Moocha przełknął ostatni kęs pizzy i poszedł w stronę Przelotowej.

- Słuchaj, chyba nie musimy w trójkę pilnować Pete'a - powiedział Bob. - Chcę zobaczyć, jakie plany mają dzisiaj rana Mooch i jego kumpel. Spotkamy się tutaj.

Jupe popatrzył na ocean. Pete zanurzył się już niemal zupełnie. Za chwilę zniknie pod powierzchnią wody.

- Dobra - powiedział. - Trzymaj oczy otwarte. Nie wiadomo, z czym mamy tutaj do

czynienia, więc bądź ostrożny!

- Będę!

Bob pobiegł w górę plaży. Gdy mijał kiosk, pocziwiec Fergus właśnie stamtąd odchodził z opakowaną pizzą. Włożył ją do wózka i pchał go w kierunku, z którego przyszedł.

- Może Bob będzie potrzebował mojej pomocy? - zapytał Worthington z nadzieją. - Może powinienem pójść za nim?

Jupe uśmiechnął się. Najwyraźniej Worthington był również spragniony emocji.

- Bob da sobie radę - powiedział i szofer wydał się lekko zawiedziony.

Bob szedł chodnikiem koło Dziedzińca Syreny i stracili go z oczu. Przenieśli uwagę na Pete'a. Jedyнным śladem po nim był szlak bąbelków na powierzchni wody.

Pete tymczasem przesuwiał się wolno nad dnem oceanu, wypatrując bacznie przez szybkę swej maski. Woda była niezwykle ciemna i to go niepokoiło. Zastanawiał się, skąd będzie wiedział, że odnalazł przedmiot, który Clark Burton wrzucił z mola poprzedniego wieczoru. Na dnie nie brakowało różności. Butelki, blaszane puszki, kłęb czegoś, co wyglądało jak zwój płótna. Pete szturchnął to. Okazało się, że jest to torba plażowa z resztkami rozpadającego się kostiumu kąpielowego.

Płynął naprzód nad dnem, utrzymując się stale na prawo od słupów mola. Widział stare tenisówki i ołowiane ciężarki do wędek, i kawałki szkła, i rozmokłe resztki jedzenia w pełnych wody woreczkach plastikowych.

Panna Peabody powiedziała, że Burton niósł papierową torbę - prawdopodobnie ze sklepu spożywczego. Mogła zawierać Bóg wie co.

Pete odwrócił głowę. Na prawo od niego coś poruszyło się w wodzie. Coś prześliznęło się po dnie i sunęło w górę, ku powierzchni.

Rekin!

Pete zdołał dostrzec rzędy ostrych sterczących zębów w lekko otwartej paszczy. Rekin płynął leniwie, bez wysiłku.

Pete przestał się ruszać. Przestał oddychać. Tkwił absolutnie nieruchomo. W myślach szaleńczo przebiegał wszystko, co wiedział o rekinach.

Niektóre rekiny atakują pływaków, niektóre nie.

Czasami plusk i głośne hałasy przeganiają rekiny.

Głośne hałasy. Jedyнным głośnym hałasem tutaj było bicie jego serca. Jak mógł ktoś głośno hałasować trzy metry pod powierzchnią wody? Nie da się nawet pluskać.

Pete dotknął dłońmi dna. Kamień. Kamienie mogły się przydać. Mógłby uderzyć

jednym o drugi i narobić hałasu. Odgłos pobiegnie przez wodę i odstraszy rekina!

Ale czy to pewne? Może rozjuszy go tylko? - rozważał znieruchomiały z ręką na okrągłym, twardym przedmiocie, który leżał na dnie.

Ogarnęła go fala potwornego strachu. Potem paniki.

Rekin się zbliżał!

Rozdział 11

Zadziwiające odkrycie

Bob szedł za współlokatorem Moocha, który zmierzał do starego domu po drugiej stronie Przelotowej. Gdy młody człowiek wchodził do domu, rozszczękały się psy na podwórzu. Bob oparł się o samochód zaparkowany na placu obok Dziedzińca Syreny i czekał, co nastąpi.

Usłyszał za sobą szcęk otwieranych drzwi i odwrócił się. Przez tylne drzwi galerii wychodził Clark Burton. Był w ładnych, jasnoniebieskich spodniach i doskonale do nich pasującej koszuli. Przekręcił klucz i zszedł ze schodów.

Bob obserwował go nie zauważony. Myślał, że Burton pójdzie do jednego z garaży, które mieściły się wzdłuż tylnej ściany gospody "Syrena", lub na przechadzkę Nadbrzeżną. Nie zrobił jednak ani jednego, ani drugiego. Przeciął Przelotową i wszedł w uliczkę, przy której stał dom Moocha Hendersona. Stamtąd poszedł dalej ku Alei Pacyfiku.

Nie zapowiadało się, by coś zaczęło się dziać w domu Moocha, Bob postanowił więc iść za Burtonem. Odczekał, aż aktor się oddali, po czym puścił się za nim truchtem. Gdy skręcił w Aleję Pacyfiku, Burton był o przecznicę dalej, zmierzając szybkim krokiem na północ.

Bob nie tracił go z oczu i kiedy aktor minął pięć przecznic i skręcił w szóstą, wciąż utrzymywał się na jego tropie. Przecznicą, w którą skręcił, nazywała się, jak spostrzegł Bob, Ewelina i stały przy niej na całej długości nieduże, stare budynki mieszkalne i małe, skromne domki. Przy krawężnikach zaparkowane były samochody nie najnowszych modeli. Dzieci bawiły się na gankach domów, w przejściach między domami uganiały psy.

Burton minął kilka budynków, wszedł na stopnie obskurnego domu i znikł Bobowi z oczu. Bob popadł w rozterkę. Co Clark Burton tu robi? Był nieskazitelnie elegancki. Czy może mieć przyjaciół w tej ubogiej okolicy?

Poszedł naprzód. Zatrzymał się przed budynkiem, do którego wszedł Burton, przyklęknął i zaczął wiązać but, popatrując ostrożnie kątem oka.

Jak w wielu budynkach mieszkalnych w Kalifornii, zabudowania otaczały wewnętrzne podwórko. Bob widział je przez otwór bramy wejściowej. Nic się tam nie poruszało. Betonowe paliki podtrzymywały uschłe brązowe badyle. Okna były zasłonięte ciężkimi białymi storami, co nadawało budynkowi martwy wygląd.

Bob podniósł się i przeszedł na drugą stronę ulicy. Trzeba mu było nie rzucającego się

w oczy miejsca na punkt obserwacyjny. Na tarasie przed jednym z domów bawiło się dwoje dzieci. Bób przysiadł na stopniach tarasu, jakby bawił się z nimi.

Czekał i obserwował. Nic się nie działo w domu naprzeciw. Był zamknięty w sobie, jakby za ciężkimi zasłonami skrywał jakiś sekret.

Mijały minuty. Bob tkwił na swoim punkcie obserwacyjnym już z kwadrans, gdy na podjeździe przylegającym do milczącego domu pojawił się samochód. Był to niebieski buick. Bob zmarszczył czoło. Samochód wyglądał znajomo, podobnie jak kierowca.

Bob już wiedział. Odczuł nagle dziwne podniecenie, gdy rozpoznał samochód, który widział poprzedniego dnia na targu niewolników. Za kierownicą siedział człowiek, który najał współlokatora Moocha. Nosił tę samą czapkę żeglarską i okulary słoneczne. Miał te same krzaczaste wąsy.

Samochód wytoczył się na ulicę, skręcił na wschód, nabrał szybkości i odjechał.

Bob wyciągnął notes. Zapisał numer rejestracyjny samochodu i adres budynku. Zamknął notes i zamyślił się. Czy Clark Burton przyszedł tu na spotkanie z człowiekiem z niebieskiego buicka? Czy zachodził jakiś związek między kierowcą buicka a Moochem Hendersonem? Albo jego współlokatorem? Czy spotkanie ich na targu niewolników było tylko przypadkiem?

Bob doszedł do wniosku, że raczej nie należy myśleć o przypadku. Muszą zachodzić jakieś związki między wydarzeniami. Ale jakie?

Potrzebował więcej informacji. Mógł je zdobyć zbierając materiał do pracy szkolnej. Może przecież chodzić od drzwi do drzwi i zadawać mieszkańcom pytania o zmiany zachodzące w sąsiedztwie. Mieszkańcom domu naprzeciw również. Być może Clark Burton go zobaczy i zdziwi się, ale nie powinien go oskarżać o szpiegowanie. Nie powinien, gdyż Bob ma doskonały pretekst dla swoich działań.

Lecz gdy Bob przeciął ulicę i wszedł na podwórze budynku, wzrosła jego niepewność. Dom był cichy, podwórze wymarłe, kompletnie zaniedbane. Czy mieszka tu ktokolwiek?

Podszedł do jakichś drzwi i nacisnął dzwonek. Nie słyszał, by zadzwieczał wewnątrz mieszkania, i nikt nie otworzył drzwi.

Nacisnął drugi dzwonek, trzeci. Cisza.

W jednym z okien dostrzegł szczelinę między zasłonami. Przycisnął twarz do szyby i zajrzał do środka. Zobaczył gołą drewnianą podłogę, kurz i kilka pustych kartonów. Mieszkanie było puste. Budynek był pusty. Odcięto elektryczność i dlatego dzwonki nie działały.

Ale gdzie był Clark Burton? Wszedł frontową bramą, więc...

Bob wstrzymał oddech. Wiedział! Burton wszedł, potem wyszedł stąd jakimś tylnym wyjściem i odjechał buickiem, nosząc krzaczaste wąsy i żeglarską czapkę!

Za jego plecami rozległy się ciężkie kroki. Bob, zdjęty strachem, obrócił się gwałtownie.

Potężny, łysawy mężczyzna w średnim wieku chwycił go za ramię.

- Co tu robisz? - zapytał.

Bob wybąkał coś o zbieraniu materiałów do pracy szkolnej.

- Bujdy na resorach! - powiedział mężczyzna. - Widziałem, jak siedziałeś na stopniach i obserwowałeś ten dom. Dość już tu mamy wandalów, którzy wkradają się do pustych domków i podkładają ogień!

- Pan się myli! - krzyknął Bob. - Nie jestem żadnym wandal! Próbuję tylko rozmawiać z ludźmi. Dzwoniłem do drzwi, ale nikt nie odpowiadał!

Uchwyt na ramieniu Boba zelżał trochę i Bob zdołał się wyrwać mężczyźnie.

- Hej! - wrzasnął tamten.

Bob przemknął się koło niego i wypadł na ulicę.

Rozdział 12

Odpowiedzi, które nie dają rozwiązania

Pod weneckim mołem rekin krążył nad Pete'em. Wtem odpłynął szybko i znikł.

Odpłynął! Pete był sam, cały i bezpieczny! Zaczął znowu oddychać. Uświadomił sobie, że zaciska coś w ręce. Przypomniawszy sobie, że złapał kamień, by odstraszyć rekina. Spojrzał na trzymany w ręku przedmiot.

Ale to nie był kamień. To było coś okrągłego, twardego i gładkiego. W przyćmionym, mglistym świetle Pete rozpoznał przedmiot. To była głowa porcelanowej syreny - zaginionej syreny Clarka Burtona! Opodal, na dnie oceanu leżały dalsze części małego posążku - dłoń, część wygiętego wdzięcznie rybiego ogona, część ramienia. Niektóre z nich wciąż były obklejone skrawkami brązowego papieru.

A więc to posążek Clark Burton wrzucił do morza. Ale dlaczego? Pete zastanawiał się, czy pozbierać inne części syreny, gdy zauważył pewne poruszenie w wodzie. Nie czekał, by stwierdzić, co to jest. Nie było potrzeby. Wiedział, że to wraca rekin.

Zaczął płynąć szaleńczo w stronę brzegu. Znalazł się w płytkiej wodzie, stanął i usiłował biec. Sapiąc i rozpryskując wodę, wypadł na brzeg i rzucił się na piasek.

- Czy coś się stało? - zapytał Worthington z niepokojem.

- Nie, nie, nic. Zdawało mi się, że widziałem rekina, to wszystko.

Plażą nadszedł ratownik. Mimo szarego poranka był uśmiechnięty i pogwizdywał. Zobaczył leżącego na piasku Pete'a i pochylonych nad nim

Jupitera z Worthingtonem i zatrzymał się.

- Wszystko okay? - zapytał.

- Teraz już tak - odpowiedział Pete. - Ale widziałem w wodzie rekina.

- Dobra, zgłoszę to - powiedział ratownik. - Tymczasem nie wchodź do wody.

- Nie ma głupich! - odparł Pete.

Jupiter pomógł mu się podnieść. Pete wciąż ścisnął w ręce główkę syreny. Podał ją Jupiterowi i poszedł się przebrać do furgonetki. Gdy po kilku minutach wyszedł, Jupe siedział na jednym z impregnowanych kreozotem pali, które wytyczały plac parkingowy. Siedział wpatrzony w główkę syreny.

- A więc to syrenę Burton rzucił z mola - powiedział.

- Na to wygląda - przytaknęła Pete. - Reszta leży na dnie w mniejszych i większych kawałkach.

- Dlaczego to zrobił? - zastanawiał się Jupe.

Pete wzruszył ramionami.

- Dlaczego opowiadał kłamstwa o bracie, który utonął? Normalne by było, żeby w ogóle nie otwierał ust na ten temat. Byłoby też normalne, gdyby po prostu poszedł do śmietnika na zapleczu galerii i tam wrzucił syrenę.

- Bał się, że ktoś ją tam znajdzie - powiedział Jupiter z namysłem.

- Policja, szukając Todda, zagląda wszędzie. Mogła zajrzeć do śmietnika. Na pewno to zrobili!

- No i co, gdyby ktoś to znalazł? - powiedział Pete. - Zastanawiałby się nad tym?

Obok nich stał Worthington. Odchrząknął i odezwał się:

- Przy różnych okazjach, gdy pan Burton nie chciał sam prowadzić samochodu, woziłem go. Często bywał na premierach, na licznych hollywoodzkich przyjęciach. Jest w nim coś, co nazwałbym teatralnością. Pozuje. Czasami, gdy się odzywał, rozpoznawałem dialog z filmu. Może to dziwne postępowanie z figurką było formą gry aktorskiej? Mógł grać... agenta wywiadu lub złodzieja dzieł sztuki, lub... - Worthington zaniechał przypuszczeń. - Nie, to nie to. Musiałby być doprawdy obłąkany, a obłąkany nie jest.

- Po prostu się zgrywa - wtrącił Pete.

- Tak. Myślę, że to trafne określenie - przyznał Worthington.

- Co nie zbliża nas ani o cal od zrozumienia, dlaczego utopił figurkę - powiedział Jupe.

Właśnie Nadbrzeżną nadszedł Bob. Był bardzo podekscytowany.

- Cześć, chłopaki! - wołał. - Nigdy nie zgadniecie!

- Pewnie nie - powiedział Jupiter. - Czego?

Bob usiadł obok niego.

- Być może Mooch, jego współlokator i Clark Burton są w zмовie.

Opowiedział im w skrócie, jak szedł za Burtonem aż do pustego budynku przy ulicy Eweliny i zobaczył wąsatego mężczyznę wyjeżdżającego stamtąd buickiem.

- Był to ten sam facet, który wczoraj najął na targu niewolników współlokatora Moocha - zakończył. - I jestem pewien, że był to Clark Burton.

- O rany! - wykrzyknął Pete.

Jupe zdawał się oszołomiony nowiną.

- Mówisz, że Clark Burton poszedł do pustego budynku na ulicy Eweliny, założył tam ciemne okulary i sztuczne wąsy i pojechał załatwiać jakieś sekretne sprawy? A wczoraj w tym samym przebraniu przyjechał na targ niewolników na spotkanie z współlokatorem

Moocha Hendersona?

- Jestem tego prawie pewien.

- Lepiej nabierzmy całkowitej pewności - powiedział Jupe. - Możemy zacząć od zasięgnięcia informacji, kto jest właścicielem buicka.

Bob wyciągnął notes.

- Mam jego numer rejestracyjny.

Jupe wziął od niego notes.

- Mówisz, że budynek jest pusty?

- Tak jest. Nie było tam nikogo, z wyjątkiem podejrzliwego sąsiada - olbrzyma. Na szczęście biegam szybciej od niego.

- Tak, na szczęście. Możemy sprawdzić numer rejestracyjny u komendanta Reynoldsa.

- Zatelefonujesz do niego? - zapytał Bob.

- Nie, zobaczą się z nim osobiście - odpowiedział Jupe. Zjedli małe drugie śniadanie, po czym Jupe z Worthingtonem odjechali, a Bob udał się na Dziedziniec Syreny sprawdzić, czy Burton wrócił do swej galerii. Pete znalazł kępę krzewów na uliczce w pobliżu domu Moocha i usadowił się tam na czatach.

Jupiter i Worthington jechali szybko na północ nadbrzeżną autostradą. Do posterunku policji w Rocky Beach dotarli w pół godziny. Komendant Reynolds nie był bynajmniej zachwycony wizytą Jupitera i Worthingtona, ale zgodził się ich przyjąć.

- O co chodzi tym razem? - zapytał.

- Czy zna pan mego przyjaciela Worthingtona? - zaczął Jupe.

- Moje uszanowanie, panie Worthington.

Worthington skłonił się.

- Dobrze, a teraz do rzeczy - powiedział Reynolds. - O co ci chodzi?

- Chciałbym wiedzieć, do kogo należy czterodrzwiowy buick, numer rejestracyjny 616BTU. Stoi w garażu przy ulicy odległej o około kilometr od plaży w Wenecji.

- Plaża w Wenecji? - oczy komendanta zwężyły się. - Czy to ma coś wspólnego z zaginionym tam chłopcem?

- Tak, proszę pana - odpowiedział Jupe. - Pani Stratten, matka chłopca, prosiła nas o pomoc.

- Brak jej wiary w policję miasta Los Angeles?

- To nie to. Sądzi jedynie, że być może my zdołamy podjąć się pewnej części dochodzenia, której...

Komendant mu przerwał:

- Pozwól, że dam ci radę, Jupiterze. Lepiej nie włącz policji w drogę w tej sprawie! Stawką może być życie dziecka.

- Wiem o tym, komendancie - powiedział Jupe. - Jeśli na coś wpadniemy, skontaktujemy się z policją Los Angeles. Obiecuję.

Komendant Reynolds posłał Jupe'owi długie spojrzenie, po czym zapisał numer rejestracyjny buicka i wyszedł z pokoju.

- Niesłychane! - powiedział Worthington. - On zdaje się mieć jakieś zastrzeżenia.

Jupe skinął głową.

- Niezupełnie aprobuję Trzech Detektywów. Wie, jak często odnosimy sukcesy, nawet jemu pomagaliśmy, a jednak wolałby, żebyśmy siedzieli w domu.

Po kilku minutach komendant Reynolds wrócił z kawałkiem papieru w ręce.

- Samochód jest zarejestrowany na nazwisko Clark Burton, Nadbrzeżna numer 484, Wenecja.

- Aha! - powiedział Jupiter.

- Oczekiwałeś tego, co? - zapytał Reynolds.

Jupiter skinął głową.

- Dobra. Może zechciałbyś mi powiedzieć coś o tym Burtonie?

- Nie tym razem - odparł Jupe ostrożnie.

Komendant spojrzał na niego badawczo.

- Pamiętaj o mojej radzie.

- Tak, proszę pana - powiedział Jupe i wraz z Worthingtonem opuścił biuro.

Wrócili do Wenecji i Worthington wysadził Jupe'a przy Dziedzińcu Syreny. Sam odjechał i przyrzekł wrócić za mniej więcej godzinę. Jupe znalazł Boba na tarasie kawiarni "Orzech". Przed nim stała pusta szklanka, z której zwisała złamana słomka.

- Burton otworzył galerię około pół godziny temu - powiedział.

- To jego samochód widziałeś rano na ulicy Eweliny - stwierdził Jupe.

- Tak myślałem. Co on robi w tym przebraniu - wąsy, okulary? I drugi samochód? Pytałem Reginy Stratten, czym jeździ Burton. Powiedziała, że ma jaguara w jednym z garaży na zapleczu. Po co komu drugi samochód, gdy ma jaguara?

Jupe wzruszył ramionami i usiadł. Właśnie od Nadbrzeżnej nadszedł Pete i przyłączył się do nich.

- Śledziłem Moocha Hendersona - oświadczył z dumą. - Kradnie psy nie dla okupu, ale dla nagrody za odnalezienie. Dziś rano kupił gazetę z Santa Monica. Podniosłem ją, kiedy ją wyrzucił. Było w niej ogłoszenie, w którym oferowano sto dolarów nagrody uczniemu

znalazcy ulubieńca rodziny, czarno-białego spaniela. Interesującym zbiegiem okoliczności Mooch miał czarno-białego spaniela na swym podwórzu. Tak więc pomaszerował z psem pod wskazany adres. Zadzwoił, otworzyła jakaś kobieta i na jej widok pies zaczął radośnie skakać. Dała Moochowi pieniądze i ten odszedł pogwizdując.

Pete zmarkotniał i dodał:

- Nie wiem, co to ma wspólnego z Toddem Strattenem. Niemożliwe, żeby Mooch próbował tej samej sztuczki z Tinym. Nikt by nie uwierzył. Mogę się założyć, że Tiny nigdy w całym swoim życiu nie zaginął nawet na dzień.

- Masz rację - powiedział Jupe, ale było widoczne, że nie słucha. Siedział na wprost zabitej deskami gospody na końcu Dziedzińca Syreny i wyraz napięcia malował mu się na twarzy. Szczypał dolną wargę, a był to pewny znak jego głębokiego nad czymś zamyślenia.

- Istnieje być może zupełnie oczywista odpowiedź, którą przeoczyliśmy - mówił. - Clark Burton może rzeczywiście nie mieć nic wspólnego z naszą sprawą. Może także nie jest w nią wmieszany Mooch Henderson. Czwartego lipca Todd Stratten wszedł na ten skwer i nikt go już potem nie widział. Todd jest mały, ma bujną wyobraźnię, lubi przygody. Przypuśćmy, że wciąż tutaj jest - Jupe wskazał gospodę i ciągnął dalej: - Czy mógł się wczołgać do kanału wentylacyjnego? Albo precyzyjnie się przez okno piwniczne? Policja sprawdzała gospodę, ale czy naprawdę przeszukali każdy kąt? Jak pamiętacie, musieli wtedy przetrząsnąć także całą plażę.

Bob podniósł się.

- Jak się tam dostaniemy?

- Clark Burton jest teraz w swojej galerii. Nie widzę powodu, dla którego miałby nam odmówić przeszukania gospody "Syrena".

Rozdział 13

Mały pościg

Na początku Clark Burton nie chciał otworzyć starej gospody.

- Jest szczelnie zamknięta od lat - powiedział. - Okna są zakratowane. Dziecko w żaden sposób nie mogło się tam dostać.

- Kiedy bytem w wieku Todda, wlałem do opuszczonego domu - przypomniał sobie Pete. - Był zabity deskami, ale nie przeszkodziło mi to. Nie zadano sobie trudu, żeby zakratować okienko na strychu, więc wdrapałem się na drzewo, przeczołgałem na koniec gałęzi i dostałem się na strych. Muszę powiedzieć, że wyjść stamtąd nie było mi łatwo.

Burton przyglądał się gospodzie "Syrena". To prawda, mimo że okna parteru i pierwszego piętra były zakratowane, nie było krat w oknach drugiego piętra.

- Nie, niemożliwe! - wykrzyknął. - Todd musiałby wejść na dach mojej galerii albo na dach mieszkania pana Conine'a, żeby dosięgnąć górnych okien gospody.

- Nie twierdzimy, że Todd to zrobił - tłumaczył cierpliwie Jupiter. - Mówimy tylko, że małe dzieci często robią rzeczy, o jakich nie śni się dorosłym. Co szkodzi przeszukać hotel? A jeśli Todd jest tam zamknięty i nie może się wydostać? Albo jest ranny lub nieprzytomny?

Burton westchnął. Następnie wziął ze swojego mieszkania pęk kluczy i odwrócił tabliczkę na drzwiach galerii napisem ZAMKNIĘTE na zewnątrz.

- Jeśli Todd wdrapał się do gospody, jak doszło do tego, że Tiny wpadł pod samochód? - zapytał.

- To jest niejasne - przyznał Jupiter. - Istnieje możliwość, że śmierć psa to przypadek nie związany ze sprawą.

- Zgoda - powiedział Burton. - To strata czasu, ale upewnijmy się, że dziecka nie ma w gospodzie.

Pierwszy zszedł w dół po schodach do wielkich frontowych drzwi gospody "Syrena". Otworzył zamek i pchnął drzwi na oścież. Ukazał się ciemny i brudny przedsionek. Chłopcy weszli do niego za Burtonem i dalej do hallu, bezładnie zastawionego butwiejącymi fotelami i sofami. Przez brudne szyby sączyło się ponure, szare światło. Przegniły dywan rozpadał się w kawałki. Z donic wystawały suche badyły, które kiedyś były kwiatami. Odciski stóp w kurzu wskazywały, którędy szli policjanci. Ale ani śladu chłopczyka.

Przeszli przez hali do jadalni, w której na stołach spiętrzone były krzesła. Za nią korytarze wiodły do biur, spiżarni i magazynów. Przeszukali wszystko. Todda nie było w

żadnym z pomieszczeń.

W kuchni pająki zasnuły zlewy pajęczyną, a w kredensach zadomowiły się myszy. Przeszukiwali kuchnię, gdy uderzył ich niesamowity dźwięk - wywołujący dreszcz grozy jęk. Zdawał się dochodzić skądś pod ich stopami.

Jupe mimo wolt wzdrygnął się.

- Co to było! - wrzasnął Pete.

Nawet Burton pobladł. Podszedł do drzwi na końcu kuchni i otworzył je. Jupe poszedł za nim i wyjrzał ponad jego ramieniem. Zobaczył ciemną klatkę schodową i poczuł kwaśny, wilgotny odór.

- Piwnica - powiedział Burton. - Rzadko jej używano. W czasie przyływu zalewa ją woda.

Bob zniknął na chwilę i pojawił się z powrotem ze świecznikiem, który znalazł w jadalni. Sterczał w nim zakurzony kikut świecy.

Burton zapalił świecę i wszyscy zeszli w dół po schodach. Pete czuł dziwne klucie w karku i starał się trzymać blisko pozostałych.

Dźwięk rozległ się znowu. Był teraz bliżej i brzmiał groźniej. Zastygli. Wreszcie Pete wskazał na coś ręką.

Wysoko, pod sklepieniem piwnicy zobaczyli okno. Było zabite i tylko smuga światła dziennego przedostawała się do wewnątrz. Dobiegały przez nie odgłosy ruchu ulicznego - to warkot i turkot, to znów ten okropny jęk.

- To jakiś hałas z ulicy - powiedział Pete i poczuł, jak ogarnia go uczucie ulgi.

Podszedł do okna i rozepchnął deski, którymi było zabite. Szpara między nimi powiększyła się i Pete dostrzegł wąski, wybrukowany pasaż, prowadzący do Przelotowej. Przy niej stała ciężarówka do wywozu śmieci. Właśnie opróżniano śmietniki Dziedzińca Syreny. Kierowca śmieciarki zawieszał kubły w uchwycie na tyle ciężarówki i naciskał podnośnik. Z okropnym jękiem mechanizmu kubeł jechał w górę i jego zawartość wysypywała się do śmieciarki.

Jupiter obserwował ten proces wraz z Pete'em.

- Och - powiedział niemrawo - więc to to słyszeliśmy. Po prostu śmieciarkę.

Burton pokiwał głową.

- Takie stare wnętrza zniekształcają dźwięki.

Nieco zakłopotani Trzej Detektywi przeszukali szybko piwnicę i wrócili do kuchni. Ustalili, że na parterze nigdzie Todda nie ma, udali się więc szerokimi schodami na piętro. Tu, przez całą długość budynku, biegł korytarz. Po obu jego stronach stały otworem drzwi,

obwisłe na powykrzywianych zawiasach.

Znowu chłopcy napotkali jedynie pustkę i kurz, i pajęczyny, i ślady myszy. Na koniec stanęli przed zamkniętymi drzwiami.

- Apartament księżniczki - Burton wskazał tabliczkę nad drzwiami. - Wielokrotnie próbowałem otworzyć te drzwi. Mam klucz, ale nie mogę obrócić go w zamku. Zamek zardzewiał. Jeśli zdecyduję się kiedyś na remont hotelu, będę musiał je wyważyć. Szkoda, są takie ładne.

Istotnie były to ładne drzwi, ozdobione rzeźbionymi w drzewie morskimi stworami. Pośrodku drzwi wyrzeźbiono główkę puciołowatego dziecka, niemal bliźniaczo podobną do główki roześmianej syreny, której nie było już w galerii Burtona.

- Syrena, którą miałem w sklepie, stała kiedyś w hallu na dole - powiedział Burton. - Gdybym tylko mógł zdjąć tę małą rzeźbę równie łatwo, jak przeniosłem syrenę z hallu.

- Jestem pewien, że zdoła pan - powiedział Jupiter. - Ale czy chce pan powiedzieć, że nigdy, odkąd kupił pan gospodę, nie był w tym apartamencie?

- Niestety nie - odparł Burton. - O ile wiem, jest wspaniały. Zajmowała go Franceska Fontaine, ilekroć przyjeżdżała do Wenecji.

- Czy to tam pojawia się duch? - zapytał Pete.

Burton uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Wierzysz w te bajki? Ja nie. Ludzie wymyślają historie o starych, pustych domach, a ponieważ nie wyjaśniono okoliczności śmierci Franceski Fontaine, krążą o niej rozmaite opowieści. Mówią nawet, że wciąż jest tutaj, zamknięta w pokoju. Teraz to już szkielet, spoczywający na łóżku. Słyszałem, że stała się odludkiem i płaciła dyrektorowi hotelu za ukrywanie jej tutaj, i że umarła w ataku szału!

Clark Burton umilkł, a chłopcy zadrżeli, jakby w korytarzu powiało nagle lodowatym chłodem.

- To wszystko bzdury! - dodał Burton. - Byłem tu, gdy robotnicy zakładali kraty na okna. Apartament księżniczki nie różni się od reszty gospody. Jest po prostu pusty.

Chłopcy przeszli z Burtonem na drugie piętro. Okna nie były tu zakratowane. Pokoje rozlokowano wokół centralnego hallu i wiele drzwi do nich stało otworem.

- Jesteśmy teraz na wysokości dziesięciu metrów od ziemi - powiedział Burton. - Nikt nie mógł się tu dostać.

- Czy nad nami jest strych? - zapytał Jupiter.

- Nie. Tylko dach, i to przeciekający.

Przeszukali jednak piętro. I tu nie napotkali niczego poza pustką i echem. W jednym z

narożników biegł szyb, łączący górne piętra ze spiżarnią na dole.

- Szyb windy ręcznej - wyjaśnił Burton. - Transportowano nią tace z posiłkami z kuchni.

Szyb był pusty, nie było w nim windy. Burton zapewnił ich, że policja oświetlała go latarkami na całej długości.

Zeszli wolno w dół i wyszli z gospody na słońce. Na dziedzińcu czekała na nich Regina Stratten. Wydawała się jeszcze chudsza, a jej oczy były zbyt duże w drobnej twarzy.

- Przeszukaliście gospodę - powiedziała. - Myśleliście, że znajdziecie Todda, ale nie ma go tam. Ale to była słuszna myśl. On jest w pobliżu i ukrywa się. Chyba wiem, co się z nim stało. Widzicie, jest taki nieznośny. Pobiegł na Przelotową, może nawet na Aleję Pacyfiku, a Tiny biegł za nim i potracił go samochód. Todd pomyślał sobie, że to jego wina. Dlatego uciekł i się ukrył. Wiecie, on zawsze robił rzeczy, które zobaczył w telewizji albo wyczytał z książek. Wiecie, co oglądał w zeszłym tygodniu? Stary film pod tytułem "Mały uciekinier".

- Ach tak? - odezwał się nagle Burton. - Film o małym chłopcu, który myśli, że zabił swego brata. Ucieka na Coney Island i żyje tam pod pomostem z desek.

Regina Stratten załamała się nagle.

- Nie mamy pomostu z desek, a pod weneckim mołem policja już szukała - powiedziała smutno. - Ale mógł się ukryć gdzieś indziej, prawda?

- Oczywiście, Regino - powiedział Clark Burton. - Wróci do domu, jak zgłodnieje.

Burton odszedł do swej galerii, jakby miał coś do zrobienia.

- Ależ on musi być głodny - mówiła Regina przez łyży. - Nie ma go od dwóch dni.

Poszła wolnym krokiem do księgi. Pete spojrział w górę, na galerię "Syrena". Burton nie otworzył jej jeszcze. Na drzwiach wciąż widniał napis ZAMKNIĘTE.

- Burton gdzieś się wybiera - snuł domysły Jupe. - Ta historia o małym chłopcu i drewnianym pomoście coś mu zasugerowała. Zauważyliście wyraz jego twarzy? Jakby mu nagle zaświtał jakiś świetny pomysł.

- Nie zdążył jeszcze zająć daleko - powiedział Bob.

Pobiegł na Nadbrzeżną i tamtędy na północne zaplecze dziedzińca. W sekundę był z powrotem.

- Właśnie schodzi tylnymi schodami galerii! - zawołał. - Chodźcie!

Chłopcy popędzili na zaplecze gospody "Syrena". Wbiegli na nie w momencie, gdy Burton wyjeżdżał z garażu szarym, lśniącym jaguarem.

- Do diabła, jedzie samochodem! - krzyknął Pete. - Jak będziemy go śledzić?

- Chyba wiem jak - powiedział Jupiter.

Przelotową nadjeżdżał właśnie Worthington furgonetką. Zobaczył chłopców i zatrzymał się.

- Robi się późno! - zawołał. - Jesteście gotowi do...

Chłopcy nie czekali na koniec zdania. Wtoczyli się do furgonetki i Jupe wskazał jaguara przed nimi.

- Clark Burton gdzieś jedzie, musimy zobaczyć, dokąd!

- Bezsprzecznie - rzekł Worthington. - Nie stracę go z oczu, nie bójcie się.

Furgonetka ruszyła z piskiem opon. Jaguar Burtona skręcił na wschód, a następnie na północ w stronę Santa Monica. Worthington przyspieszył, by nie tracić jaguara z pola widzenia.

W Santa Monica jaguar zsunął się w dół po stromiźnie urwiska nad plażą. Następnie Burton wjechał na parking odległy o kilkadziesiąt metrów od mola. Worthington minął ten parking i zjechał na następny.

Chłopcy nie wysiedli z furgonetki. Z miejsca postoju mieli pełny widok na samochód Burtona. Widzieli teraz aktora, jak wysiada i idzie w stronę mola.

- A więc to tak! - powiedział Jupiter. - Chłopczyk w starym filmie ukrywał się pod drewnianym pomostem. Nie mamy pomostów, ale mamy molo. Policja rozmawiała z panią Stratten o weneckim molu, ale nie wspomnieli mola w Santa Monica. Burton zobaczył tu szansę.

- Ale to tak daleko od Wenecji! - Bob nie spuszczał wzroku z Burtona, który wchodził teraz pod molo. - Jechaliśmy ze cztery kilometry!

- Co to za odległość dla ruchliwego dzieciaka - powiedział Jupe.

- Hej, a jeśli Todd tam jest?! - wykrzyknął Pete. - Chcecie, żeby Burton pierwszy go znalazł? To jest, chcę powiedzieć, że ten facet jest pokręcony i... i... hej, patrzcie!

Burton wybiegł spod mola. Gonił go chudy, czerwonolicy mężczyzna w łachmanach. W ręce miał butelkę wina i machał nią wygrażająco. Burton biegł z imponującą szybkością. Dopadł jaguara, szarpnął drzwi i skoczył do środka. W sekundę później jaguar mknął ku autostradzie.

Worthington śmiał się cicho i jak zauważył Jupe, musiał mieć trochę czasu, żeby się opanować.

- Od dawna wiedziałem - mówił - że niektórzy z naszych barwniejszych obywateli mieszkają pod mołem w Santa Monica. Możemy być pewni, że Burton uświadomił to sobie teraz.

- Chwileczkę - Pete zsunął się z furgonetki i podbiegł do włóczęgi. Człowiek potykał się i gadał do siebie.

- Przepraszam pana - powiedział Pete uprzejmie.

Obdartus zdołał skoncentrować na nim spojrzenie.

- Szukamy pewnego dzieciaka - mówił Pete. - Jest mniej więcej tego wzrostu - Pete pokazał ręką wysokość Todda - i zaginął dwa dni temu.

- Ja zem go nie widział - odpowiedział włóczęga. - Nie lubimy tu dziecków. Ino się pokażą, to je zara gonimy.

- Bardzo panu dziękuję.

Włóczęga odwrócił się i pomaszerował chwiejnie z powrotem pod molo. Pete wrócił do furgonetki.

- Mieliśmy trochę zabawy, ale nic nam to nie dało - stwierdził.

- Tego bym nie powiedział - zaproponował Jupe. - Wiemy teraz, że Burtona także dręczy pytanie, gdzie jest Todd, i chciałby go znaleźć, nim ktokolwiek inny to zrobi. Ciekawe, dlaczego trzyma to w sekrecie? Ten człowiek to zagadka. Może rozwiążemy tajemnicę Clarka Burtona, nim w ogóle zaczniemy zgłębiać tajemnicę zniknięcia Todda Strattena!

Rozdział 14

Jupe wywołuje zamieszanie na podwórku

Następnego rana Trzej Detektywi przybyli wcześniej nad ocean, Reginy Stratten nie zastali, ale jej ojciec był w pobliżu księgarni. Chodził tam i z powrotem po Nadbrzeżnej.

- Przekonałem Reginę, że powinna zostać dziś w domu - powiedział. - Czuje się wyczerpana. Jest z nią sąsiadka. To ta sama, która pilnowała naszego mieszkania na wypadek, gdyby Todd się tam pokazał.

Pan Finney sprawiał wrażenie kompletnie zdesperowanego.

- To już trzy dni - mówił. - Zaczynam tracić nadzieję. Todd nie mógłby sobie poradzić sam przez trzy dni. Jest bystry, ale ma tylko pięć lat!

- Tak - powiedział Jupe i odchrząknął. - Proszę pana, zrobiono sekcję zwłok psa. Czy wie pan, co wykazała?

- Niestety nic, co mogłoby pomóc - odparł Charles Finney. - Coś uderzyło Tiny'ego w głowę i łopatkę, ale rana nie była poważna. Pies zdechł na atak serca. Był stary, stare psy, tak jak starzy ludzie, czasem nie wytrzymują szoku.

Podreptał do swego sklepu, a chłopcy przystąpili do pracy. Przyjechali tu z pewnym planem, jak również ze swymi walkie-talkie. Złożył je Jupiter, obdarzony drygiem do majsterkowania, i były jak kupione w sklepie, tylko miały mniejszy zasięg. Można było przez nie zarówno nadawać, jak odbierać. Jupe rozdał radyjka Bobowi i Pete'owi, sam zatrzymał trzecie. Następnie Bob udał się na swój posterunek w kępie krzewów naprzeciw domu Moocha Hendersona.

- Musimy się raz wreszcie dowiedzieć, czy Mooch jest w jakiś sposób

- Musimy także ustalić, jakiego rodzaju powiązania zachodzą między jego współlokatorem a Clarkiem Burtonem.

Pete i Jupe zajęli punkt obserwacyjny na tarasie "orzecha". Mieli stąd widok na okna mieszkania Burtona.

- Okiennice zamknięte - zauważył Pete. - Burton zdaje się nie wierzyć w przysłowie "Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje".

- Nie wyobrażam sobie, żeby się utrzymywał z tej galerii - powiedział Jupiter. - Realniejsze dochody dają mu czynsze za budynki przy Dziedzińcu Syreny. Galeria to pewnie tylko hobby.

Właśnie w tym momencie jedne okiennice otworzyły się i przez okno wyjrzał Burton.

Zobaczył Jupe'a i Pete'a, chwilę się zawahał, po czym pomachał im ręką.

Chłopcy odwzajemnili gest.

- Sterczymy tu jak kołki w płocie - powiedział Pete. - Połapie się, że go obserwujemy.

- Nie musimy obserwować akurat jego - sprzeciwił się Jupe. - Pani Stratten wynajęła nas i musimy zebrać tu jak najwięcej informacji, żeby odnaleźć jej syna.

Z wnętrza kawiarni wyszedł Tony Gould, dzierżąc notes.

- Co dla was? - zapytał.

W tym momencie w walkie-talkie Jupe'a i Pete'a odezwał się głos Boba.

- Jupe! Pete! Mooch wyszedł przed chwilą, a jego współlokator jakieś dziesięć minut temu. W domu nikogo nie ma.

- Coście powiedzieli? - zapytał Tony Gould.

Jupe uśmiechnął się.

- Pete nie może się doczekać, żeby otworzyć własną restaurację. Czy nie potrzebuje pan pomocnika?

Pete wytrzeszczył oczy na Jupitera.

- Ej, od kiedy...

- Masz pozwolenie na pracę? - zapytał Tony Gould.

Pete z ulgą potrząsnął przecząco głową.

- To chyba przekreśla moje szansę, co?

- No, powiedzmy, że się później postarasz o pozwolenie - powiedział Tony. - Pomoc by mi się już przydała.

Pete'owi wydłużyła się mina.

- Dobiorę się za to do ciebie, stary - mruknął do Jupe'a

Tony odszedł do kawiarni.

- Pieniążki jak znalazł, tak myśl o tym - powiedział Jupe. - Najważniejsze, że jeśli Burton ma podejrzenia, to to go uspokoi. Idę pogadać z Bobem. Cześć!

Jupe przeszedł szybko na zaplecze Dziedzińca Syreny i przeciął Przelotową. Bob czekał na niego przycupnięty na krawężniku obok domu Moocha.

- Mooch poszedł gdzieś na piechotę - powiedział. - Chciałem iść za nim, ale pomyślałem, że może więcej się dowiemy, jak tu zostaną. Na podwórzu jest teraz z pięć albo sześć psów. Jak zaczynają szczebrać, to jakby tam było psie zebranie.

- Dobrze zrobiłeś - powiedział Jupe. - Zostań tu. Gdyby ktoś nadchodził, daj mi znać przez walkie-talkie. Wchodzę do środka.

- Mooch zamknął drzwi na klucz.

- Znajdę jakiś sposób. Jeśli jest się dostatecznie zdeterminowanym, sposób zawsze się znajdzie.

Jupiter miał rację. Na wschodniej ścianie domu, przeciwnej do Przelotowej, znajdowało się okno, którego nie dawało się zamknąć. Drewniana futryna była stara i obłupana, a zamek dawno z niej wypadł. Jupe cicho podciągnął okno w górę, żywiąc nadzieję, że psy tego nie usłyszą, i wśliznął się do środka.

Znalazł się w pokoju, który kiedyś musiał być jadalnią. Pośrodku sufitu zwiisał na łańcuchu brzydki żyrandol. Pod ścianą stał pomalowany na srebrno kredens. Poza tym nie było w pokoju nic, jedynie wytłuszczone gazety na podłodze. Nie było nawet stołu i krzesel.

Jupe przeszedł do kuchni. Zobaczył stół zastawiony brudnymi talerzami, zlew pełen nie umytych naczyń, torby ze śmieciami i puszki z jedzeniem dla psów. Śmierdziało. Drzwi wychodzące na podwórze były tak spaczzone, że ledwie się domykały. Klamka przywiązana była drutem do gwoźdźcia w futrynie. Jupe zmarszczył nos i poszedł dalej, uważając, by niczego nie dotknąć.

We frontowym pokoju stała skórzana kanapa, która bardziej na miejscu byłaby w zajezdni autobusowej. Okrągły stół ze szklanym blatem zarzucony był obrożami psów i gazetami z Santa Monica, z zakreślonymi w nich ogłoszeniami o zaginięciu psów. Leżała też brązowa koperta z okienkiem na adres. Urzędowy list. W Jupiterze zakipiała złość, gdy uświadomił sobie, że wśród nielegalnych machinacji Moocha może być także miejsce na kradzież czeków na wypłatę rent ze skrzynek listowych. Pomyślał, ile też starych osób lub kalek w ten sposób obrabowano.

Wszedł po schodach na piętro. Szybkie przeszukanie sypialni i łazienki ujawniło sterty brudnych ubrań i niewiele więcej.

Dom nie miał drugiego piętra, nie miał piwnicy i nie było tu śladu Todda Strattena. Jeśli wybredny i ostrożny Clark Burton miał jakieś powiązania z młodymi mieszkańcami tego domu, trudno było je sobie wyobrazić, poza tym, że może od czasu do czasu korzystał z ich usług.

Ależ jakich usług?

Dom budził w Jupiterze odrazę i przygnębienie. Już właśnie ruszał do wyjścia, gdy w jego walkie-talkie odezwał się Bob.

- Jupe, Mooch nadchodzi.

Jupe śmignął do jadalni. Spojrzał przez okno. Mooch nadchodził od Alei Pacyfiku. Chłopiec uświadomił sobie w przyпіływie paniki, że jeśli otworzy okno i zacznie przez nie przełazić, Mooch go zobaczy.

- Hej, Jupe, ruszaj się! - zawołał Bob.

Jupe pospieszył do drzwi kuchennych. Na frontowym ganku słychać było kroki. Detektyw nerwowo odplątywał drut przytrzymujący klamkę. Po kilku sekundach drzwi otworzyły się i Jupe wyszedł na ganek kuchenny.

Psy zaczęły ujadać zgodnym chórem.

- Hej, co się tam z tyłu dzieje?! - wrzasnął Mooch z ganku. Zadudniły jego kroki, gdy zbiegał ze schodów i okrążał dom.

Jupe błyskawicznie ogarnął spojrzeniem podwórze. Było otoczone wysokim płotem z desek. Jupiter wiedział, że nie zdoła wspiąć się na płot dostatecznie szybko. Jedyna furtka w ogrodzie znajdowała się od strony podjazdu. Właśnie w tej chwili Mooch szedł do niej. Jupe był w potrzasku!

Tylko jedno wyjście przyszło mu na myśl. Popędził do komórek dla psów na końcu podwórza.

- Hej, ty! - wydierał się Mooch z podjazdu. Nie tracił czasu na otwarcie furtki, przesadził płot i skoczył na podwórze.

Jupiter dopadł do rzędu komórek pod tylnym płotem. Szarpnął skobel na pierwszej z brzegu. Rozradowany owczarek alzacki skoczył na drzwi. Otworzyły się na oścież i pies był wolny.

- Hej, wracaj! - wrzasnął Mooch na psa.

Jupe skoczył do następnej komórki i otworzył drzwi. Drugi pies wypadł na wolność, szczekając zajadle. Zatrzymał się na moment, oceniając wielkość owczarka. Następnie zaatakował go. Głośne warczenie i ujadanie wypełniło podwórze, a Mooch tańczył wokół psów, wrzeszcząc jak obłąkany.

Jupiter otworzył trzecią i czwartą komórkę.

Mooch zupełnie stracił głowę i starał się rozdzielić walczące psy. Natychmiast go pogryzły.

Poblady i przerażony Bob zajrzał sponad płotu. Sięgnął do haczyka od wewnątrz i otworzył furtkę. W tym momencie psia walka, która stała się jednym wspaniałym szczekaniem, warczeniem, skowytem, gryzieniem i skokami wolności, przetoczyła się w stronę otwartej furtki.

Mooch krzyczał, szarpał się, wyskakiwał i machał rękami w daremnych wysiłkach. Owczarek wycofał się z walki i jak błyskawica wypadł z podwórza.

Nagle walka wygasła. Psy śmignęły na Przelotową i rozbiegły się w cztery strony. Mooch biegł za nimi gwizdząc i wołając, starał się dopaść najpierw jednego, potem drugiego.

Bob usiadł na krawężniku i zwiął się ze śmiechu. Przelotową nadjechała ciężarówka współlokatora Moocha.

Młody człowiek zatrzymał ciężarówkę na poboczu i wyskoczył z niej. Starł się zabiec drogę jednemu z psów, ale szybko tego zaniechał. W ulicę skręciły dwa samochody patrolowe.

Mooch zwiwał. Przesadzał płoty i krzaki, aż przepadł za sąsiednim podwórzem. Jego współlokator zmierzał w przeciwnym kierunku z równym pośpiechem.

Po psach nie było już śladu. Kilku sąsiadów obserwujących zajście stało na gankach swych domów. Policjanci wysiadali z samochodów patrolowych.

Jupe odczuwał satysfakcję, gdy niespiesznie odchodzili obaj z Bobem. Może nie dokonali wiele, ale przynajmniej zniweczyli niegodziwe przedsięwzięcie Moocha.

Rozdział 15

Ukryte skarby

Jupe rozstał się z Bobem na północnym zapleczu Dziedzińca Syreny. Bob mógł stąd obserwować tylne drzwi i schody galerii Burtona. Jupe poszedł na dziedziniec, gdzie zastał Pete'a siedzącego na skraju kawiarnianego tarasu.

- Upuściłem tacę pełną talerzy - powiedział Pete radośnie. - Tony Gould doszedł do wniosku, że potrzebuje bardziej doświadczonego pomocnika.

- Zrobiłeś to umyślnie - oskarżył go Jupe.

- Nie. To się stało przypadkowo, ale nie powiem, żebym cierpiał z tego powodu.

Otworzyły się drzwi nad pasmanterią. Panna Peabody wyszła na balkon.

- Chłopcy, chciałabym z wami porozmawiać - powiedziała.

Jupiter i Pete popatrzyli na siebie pytająco, po czym wspięli się po schodach. Panna Peabody czekała na nich w drzwiach mieszkania i skinęła, żeby weszli.

W jej salonie zobaczyli pana Conine'a. Siedział na krześle z wysokim oparciem i pogodnie wpatrywał się w budynek po przeciwnej Stronie dziedzińca. Obserwował okna Clarka Burtona.

- Strasznie podejrzenie wyglądacie tam na dole, chłopcy - powiedziała panna Peabody. - Jeśli chcecie mieć pod obserwacją galerię Clarka Burtona, dlaczego nie przyszlście tutaj?

Jupe i Pete wytrzeszczyli oczy. Tych dwoje starych ludzi najwyraźniej dobrze się bawiło. Było też oczywiste, że mają nadzieję przyłapać Burtona na jakimś niecnym uczynku.

- Pani go naprawdę nie lubi - powiedział Pete.

- Jak ktokolwiek mógłby lubić Burtona - odpowiedział Conine. - Nigdy nie jest sobą.

A więc znowu uwaga, że Burton zdaje się być człowiekiem, którego całe życie jest pokazem gry aktorskiej!

Jupe patrzył przez okno. Widać stąd było Burtona w jego galerii. Właśnie wychodził z kuchni z kubkiem w ręce.

Jupe przeniósł wzrok na stary hotel w głębi dziedzińca. Może byłoby interesujące usłyszeć, co panna Peabody myśli o gospodzie?

- Dziwne, że pan Burton nic nie zrobił z gospodą "Syrena".

- Podobno tam straszny - powiedział pan Conine.

Mówił to nie pierwszy raz. Chłopcy podejrzewali, że cieszy go takie bliskie

sąsiedztwo ducha.

- Mówią, że przechadza się tam duch Franceski Fontaine - pan Conine westchnął. -
Cóż to było za śliczne stworzenie!

Pan Conine się rozmarzył, ale znaczące prychnięcie panny Peabody przywołało go do porządku!

- Była chuda jak patyk i nigdy nie nosiła odpowiedniej bielizny - oświadczyła panna Peabody. - Poza tym nie sądzę, by Clark Burton miał respekt dla jakiegokolwiek ducha! Ma inny powód, żeby nie zmienić gospody w kolejne źródło dochodów!

- Ale jaki to może być powód? - zapytał Jupe. - Taka posiadłość nad oceanem musi mieć dużą wartość. Jestem pewien, że mógłby pożyczyć pieniądze na remont, jeśli sam nie ma ich dość. Dziedziniec Syreny jest bezsprzecznie dobrą inwestycją.

- Drogie dziecko, prędeż zwariujesz, nim pojdziesz Clarka Burtona - panna Peabody potrząsnęła głową. - Dziwny z niego człowiek.

Jupiter niezbyt lubił, by zwracano się do niego "dziecko", ale opanował irytację. Wyraz determinacji pojawił się na jego twarzy.

- Na najwyższym piętrze gospody okna nie są zakratowane - powiedział. - Ciekawe, czy byłoby możliwe dostać się tam z dachu tego budynku.

Pete zaniepokoił się.

- Po co mamy to robić? Już przeszukaliśmy gospodę.

- Nie byliśmy w apartamencie, w którym zwykła zatrzymywać się Francesca Fontaine - zauważył Jupe.

- Tam właśnie straszy - powiedział pan Conine. - Popatrzcie, widzicie te okna pierwszego piętra na północnym końcu budynku? Tuż obok galerii? To są okna apartamentu Fontaine i to tam czasem, po zapadnięciu zmroku, widzę poruszające się światło.

- Wszystko, co pan widzi, to refleks światła z Nadbrzeżnej - powiedziała panna Peabody.

Pan Conine zignorował jej uwagę.

- Jeśli chcecie - zaproponował - pójdę pogadać z Burtonem. Zaabsorbuję jego uwagę tak, że nie zobaczy was w trakcie wspinania się z dachu do gospody.

- Dziękuję panu - powiedział Jupe.

- Ja będę pilnować tutaj - powiedziała panna Peabody. - Jeśli nie wrócicie za godzinę, pošlę za wami pana Conine'a i pana Finneya.

Pan Conine ochoczo ruszył do dzieła. Wkrótce był już w galerii i rozmawiał z Clarkiem Burtonem. Burton siedział plecami do dziedzińca.

- Chodźmy - powiedział Jupiter do Pete'a,

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - zapytał Pete nerwowo. - A jeśli tam rzeczywiście straszy?

- Przecież nie wierzysz w duchy, Pete - odpowiedział Jupe z ironią.

Pete nie był tego zbyt pewien, gdy wychodzili tylnymi drzwiami z mieszkania panny Peabody. Wspięli się na dach i przekradli nad mieszkanie pana Conine'a, które przylegało do starej gospody. Dach u szczytu miał kształt odwróconego V. Jak długo chłopcy pozostawali poza nim, byli niewidoczni z galerii.

Okna drugiego piętra gospody znajdowały się powyżej dachu, choć niezbyt wysoko nad nim. Chłopcy wyjrżeli ostrożnie sponad krawędzi dachu. Pan Conine wciąż gawędził z Burtonem. Pete podniósł się i wspiął na szczyt dachu. Sięgnął do okna i spróbował je unieść.

Otworzyło się. Skrzypiało, stawiało opór, ale się otworzyło.

- Nie było nawet zamknięte! - powiedział. Wdrapał się do środka i wyciągnął ręce do Jupe'a.

Pokoje drugiego piętra już przeszukiwali, podeszli więc prosto do schodów i udali się w dół na pierwsze piętro. Przed apartamentem księżniczki Pete ujął klamkę. Obróciła się, lecz drzwi pozostały zamknięte. Pete rzucił się na nie całą siłą, lecz nie ustąpiły ani o ułamek cała.

Jupe zmarszczył czoło i cofnął się o krok.

- Jesteśmy teraz nad kuchnią - powiedział - lub może nad pokojem kredensowym. A równocześnie pod narożnym pokojem drugiego piętra, tego, przy którym biegnie szyb windy ręcznej!

Jupe uśmiechał się szeroko.

- Ten szyb musi biec w dół wprost przez apartament księżniczki. Zaraz za tą ścianą. Byłoby chyba nielogiczne budować taki szyb i ominąć ten apartament.

- Racja! - wykrzyknął Pete.

Popędzili z powrotem na górne piętro i znaleźli szyb dokładnie w miejscu, które zapamiętał Jupiter. Otworzyli małe drzwiczki i zajrzeli w głąb. W ciemności dostrzegli, że drewniane listwy obudowy wystają na zewnątrz.

- Możemy zejść po tych listwach jak po drabinie - powiedział Pete. Przecisnął się przez otwór drzwiczek i zaczął wolno schodzić w dół.

Przytrzymał się listew i wymacał oparcie dla stóp. Jupe obserwował go z góry.

Odszukanie drzwiczek na pierwszym piętrze nie zabrało Pete'owi wiele czasu. Kopnął je i otworzyły się. Pete wśliznął się do małego zakurzonego pokoiku. Następnie wetknął głowę do szybu i spojrzał w górę.

- Okay! - zawołał cicho. Nie wiedząc dlaczego, zaczął prawie szeptać. - Chodź.

Jupe ruszył. Otwór drzwiczek był ciasny dla niego i poczuł, że coś na sobie rozdziera, gdy się przeciskał. Nie przejął się tym i począł zmusznie schodzić w dół. Podobnie jak Pete wymacał oparcie dla stóp i rąk, ale czuł, że jemu zabiera to okropnie dużo czasu. Czuł też, że za każdym ruchem wciąga w płuca kurz i pajęczyny.

- To cię nauczy nie obżerać się pizzą - szepnął Pete z dołu.

Jupe łypnął na niego wściekle i nie odpowiedział. Dotarł już do drzwiczek i wgramolił się do apartamentu Franceski Fontaine.

Znajdowali się w małym przedpokoju, gdzie światło dochodziło jedynie przez małą szklaną płytkę, osadzoną w staroświeckich drzwiach wahadłowych. Pete wskazał jej skinięciem głowy.

- Za nimi musi być apartament.

Powiedział to znowu szeptem. Szept zdawał się być właściwy w tym dawno nie zamieszkanym miejscu.

Jupe lekko pchnął wahadłowe drzwi. Stały przed nimi otworem. Zaparło mu dech.

- Wielki Boże! - szepnął Pete, patrząc nad jego ramieniem. Nie było tu kurzu. Nie było stęchłego zaduchu starości. Przeciwnie, delikatny prąd świeżego powietrza dochodził z jakiejś ukrytej wentylacji i poruszał draperie na oknach. Były to piękne draperie, ciężkie, bogate i ciemne. Przez nie pokój był mroczny, ale chłopcy widzieli wszystko wyraźnie. Ich uwagę przykuł kredens, gdzie srebrne lichtarze, sosjerki i puchary konkurowały z kryształowymi czarami. Na ścianach wisiały wspaniałe obrazy - kwiaty, krajobraz górskiego jeziora, zatoka z okrętami o wysokich masztach, które złociły się w świetle zachodzącego słońca, dzieci bawiące się na łące.

- A więc - dobiegł ich stłumiony głos - co pan o tym myśli?

Pete aż skoczył i uczeplił się kurczowo Jupe'a. To był głos Clarka Burtona.

- Cudowne - rozległ się teraz głos pana Conine'a. - Nie będę udawał, że się znam na sztuce nowoczesnej, ale lubię gobeliny. Wzór abstrakcyjny dobrze na nich wygląda.

Chłopcy stali jak wryci i wodzili wzrokiem wokół pokoju. Wszędzie były skarby. Porcelana i egzotyczne dywany, piękne, delikatne krzesła i szkatułki z różanego i hebanowego drzewa. Nie było jednak ani śladu Burtona i pana Conine'a.

- Niemal szkoda wystawiać na sprzedaż takie rzeczy - mówił Burton.

Jupiter i Pete odprężyli się nieco. Głosy dochodziły zza ściany - tej, do której przylegała galeria "Syrena".

- To jest problem w tego rodzaju firmie - mówił Burton. - Trzeba sprzedawać rzeczy,

do których jest się najbardziej przywiązany.

Jupe skierował się ku ścianie, zza której dochodził głos, ale wtem zatrzymał się. Jego wzrok padł na dziwnie rzeźbioną, starą skrzynię. Na wieku wyrzeźbione były smoki i stojące naprzeciw siebie jednorożce, na bokach gryfy. Zafascynowany, Jupiter podszedł do skrzyni i podniósł wieko.

Pete, który znalazł się obok, ze świstem nabrał oddechu.

W skrzyni były pieniądze. Stosy pieniędzy. Pliki dziesiątek i dwudziestek. Nawet pięćdziesiątek i setek. Wszystko posortowane w zgrabne pakiety, przewiązane papierową banderolą, tak jak się to widzi w banku.

- Miło się z panem gawędziło - mówił Burton tonem, który wskazywał, że odprawia gościa. - Niestety, nieczęsto mam czas, by udzielać się towarzysko, ale cieszę się, że pan do mnie zajrzał.

Za ścianą zaszurały krzesła, zadudniły kroki. Conine i Burton szli w stronę drzwi, wymieniając uprzejmości.

Jupe delikatnie zamknął wieko skrzyni. Przekrzywił głowę i nasłuchiwał.

Za ścianą zadźwięczał dzwonek przy drzwiach galerii. Pan Conine wychodził. Następnie Burton przeszedł przez pokój i rozległo się szuranie, gdy przysuwał z powrotem krzesła do stołu.

Jupe wycofał się i skinął na Pete'a. Przemknęli cichaczem przez pokój wspaniałości i weszli do przedpokoju z szybem ręcznej windy.

- Widziałeś te wszystkie pieniądze? - zapytał Pete.

- Nie sposób było nie widzieć - odparł Jupe.

- Nic nie rozumiem, Jupe. Dlaczego nie zabrali tego całego kramu, kiedy Francesca Fontaine zniknęła albo umarła, czy co tam się z nią stało?

- Być może nic nie należało do niej, Pete. Przypuszczam, że mamy do czynienia z następną próbką gry aktorskiej Burtona. O ile pamiętam, powiedział, że gospoda była pusta, gdy ją kupował...

Jupe nagle urwał. Dał się słyszeć nowy odgłos. Lekkie szcęknięcie, jakby otwieranego zamka w pokoju obok.

- Idzie! - sieknął Pete.

Niemal w panice wpackował się do szybu i jął się wspinać w górę.

Jupe odczekał, aż Pete znajdzie się nieco wyżej, po czym wcisnął się do szybu i pociągnął drzwiczki. Zamknął je i zaczął powoli gramolić się do góry.

Szyb był wąski. Jupe powtarzał sobie, że przecież nie mógł utyć nawet grama od

czasu, gdy schodził tędy, a jednak wspinanie się szło mu o wiele ciężiej. Powietrze było bardziej duszne, ściany bardziej szorstkie, a jego ubranie czepiało się o nie i wstrzymywało go.

Skrzypnęły drzwi pod nim. To były wahadłowe drzwi między przedpokojem a pokojem skarbów. Clark Burton był tuż, na dole. Być może nasłuchiwał. Jupe znieruchomiał. Czy Burton pomyśli o szybkiej ręcznej windy? Czy otworzy drzwiczki?

Jupe'owi było coraz goręcej i goręcej. Czekał w udręce, czy Burton go znajdzie. Znowu skrzyknięcie. Jupe wstrzymał oddech.

Ale to nie było skrzyknięcie drzwiczek windy. To zamknęły się wahadłowe drzwi! Jupe zrozumiał, że Burton wychodzi z pokoju skarbów. Wolno wypuścił oddech.

Tymczasem Pete osiągnął już drugie piętro. Wyśliznął się z szybu i pochylił się nad nim, by pomóc koledze.

Jupe był wciąż sporo poniżej. Sięgnął do listwy i uchwycił się jej. Pękła z suchym trzaskiem i kawałek drewna spadł mu na głowę, po czym wzdłuż jego boku zsunął się w dół. Jupe sapiał.

Starł się sięgnąć do wyższej listwy, ale jakoś nie mógł się wyciągnąć. Coś za nim wrzynało mu się w ramię. Coś innego naciskało kolano. Zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco. Czuł, jak twarz mu czerwienieje, w uszach pulsowała krew. Popatrzył na Pete'a w górę i pokręcił głową.

- Pomóż mi! - szepnął ochryple. - Utknąłem!

Rozdział 16

Jupe wyciąga wnioski

- Utknął! Jak mogłeś utknąć? - irytował się Pete. - Zszedłeś w dół. Dlaczego nie możesz wejść w górę?

- Nie wiem - odpowiedział Jupe żałośnie.

Pete znikł z otworu szybu. Jupitera przeszły złość i lęk. Tak go zostawić, co Pete sobie myśli?

Zaczęła go ogarniać panika. Walczył z nią, starając się oddychać wolno. Pete wybawił go stąd w końcu. Musi!

Pete wrócił niemal natychmiast.

- Pobiegłem na korytarz, żeby zobaczyć, co się dzieje w galerii - mówił. - Burton tam wrócił i nie usłyszy nas. Mówiłem ci, że warto uprawiać jogging - dodał, zaśmiaawszy się mimo woli.

- Żałuję, ale nie widzę w tej sytuacji nic zabawnego - obruszył się Jupe.

- Zachowaj spokój, Jupe. Sprowadzę pomoc. Pete wyciągnął walkie-talkie i przycisnął przełącznik.

- Bob! Bob, czy mnie słyszysz?

Włączył odbiór. Bob nie odpowiadał, więc zaczął go wzywać ponownie.

- Bob! Zgłoś się! Bob!

Radio zatrzeszczało.

- Tu Bob. O co chodzi?

- Jupe trafił na wąskie gardło - powiedział Pete i ignorując mordercze spojrzenie Jupe'a, kontynuował: - Idź do pana Conine'a i postaraj się dostać kawałek liny, albo... albo czegoś. Potem wejdź na dach i przez okno drugiego piętra wejdź do gospody. Jupe utknął w szybie ręcznej windy.

- Utknął? - powtórzył Bob. - W windzie? Jak...

- Wyjaśnimy ci później - przerwał mu Pete. - Ruszaj się żywo, dobra? Pan Conine pokaże ci, jak się tu dostać.

- Czekaj! - zawołał Jupe, któremu nagle zaświtała pewna myśl. - Powiedz Bobowi, żeby przyniósł aparat fotograficzny.

Pete przekazał wiadomość.

- Zrozumiano! - odpowiedział Bob.

Potem nic się nie działo przez długie minuty. Jupe czuł się coraz bardziej wytrącony z równowagi. Nie odnalazł Todda Strattena, a w dodatku sam jest unieruchomiony w tak idiotyczny sposób. Pan Conine może wpaść w panikę i wezwać straż pożarną. Jeśliby to się stało, kłopotom nie będzie końca. Mogą go wraz z Pete'em zaarrestować za wdarcie się do cudzej posiadłości i Burton dowie się, że odkryli jego tajemnicę. Bardzo mu zależało, żeby Burton nie dowiedział się o tym - jeszcze nie teraz.

Rozległo się nad nim szuranie i w otworze ukazał się Bob. Oznajmił, że pan Conine nie miał liny, ale nieoceniona panna Peabody powiązała kilka prześcieradeł.

- Proszę o uśmiech - zakończył Bob i nim Jupe zdążył zaprotestować, pstryknął mu zdjęcie. - Po prostu nie mogłem się oprzeć pokusie zrobienia fotografii do książki Trzech Detektywów - powiedział, pokładając się ze śmiechu.

- Może gdybyście wy dwaj przestali się bawić moim kosztem i skoncentrowali wysiłki na wydostaniu mnie stąd, moglibyśmy posunąć się dalej w sprawie, do której nas wynajęto.

Bob i Pete speszzeni spuścili do szybu linę domowej roboty. Jupe uchwycił ją jedną ręką, drugą wciąż uczepony drewnianej obudowy szybu.

- Dobra - powiedział Pete - ciągniemy. Myśl o sobie: "jestem chudy". To może pomóc.

Bob i Pete ciągnęli razem. Jupe wierzgał nogami, starając się oprzeć stopy o ściany szybu i piąć się w górę, ale nie dawał rady. Ogarnęła go ponowna fala irytacji.

Nagle Bob się roześmiał.

- Może pójdziemy po mydliny albo lepiej wazelinę. Wyciśniemy ją na Jupe'a i wyskoczy jak z procy.

Jupe miał ochotę udusić Boba. Puścił szczeble obudowy i uwiesił się na linie obiema rękami. Wypuścił powietrze z płuc i zmusił się do wyprostowania nóg. Zaczął jechać szybko w górę, ocierając się i objając o ściany. Wreszcie Bob i Pete uchwycili go za ramiona i wywlekli z szybu. Podciągnął pod siebie nogi i oparł się o ścianę.

- Okay - powiedział Pete - miałaś nauczkę! Przez miesiąc żadnych ciasteczek czekoladowych! I od jutra zaczynasz jogging!

Jupe rzucił mu wściekle spojrzenie.

- Jeśli będę potrzebował dietetyka i instruktora sportowego, dam ci znać.

Bob patrzył przez chwilę to na jednego, to na drugiego i wreszcie powiedział;

- Dobra. Teraz, skoro już tam nie tkwisz, może zechcecie mi powiedzieć, po co w ogóle włąziliście do tego szybu.

- Weszliśmy tam, ponieważ była to jedyna droga dostania się do pokoju skarbów

Burtona - powiedział Jupe.

- Pokoju skarbów? - powtórzył Bob.

- Apartament, w którym zwykła zatrzymywać się ta aktorka - wyjaśnił Pete. - Pełno tam niewiarygodnych mebli i srebra i stoi tam cała skrzynia pieniędzy.

- Żartujesz!

- On wcale nie żartuje - powiedział Jupe. - Poza muzeum, nie widziałem nigdy czegoś takiego. Bob, lepszy użytek z twego aparatu fotograficznego zrobisz tam, na dole.

Bob zaśmiał się.

- Musimy - kontynuował Jupe - zrobić zdjęcia wszystkiego w apartamencie Franceski Fontaine. Mebli, sreber, obrazów. Zwłaszcza obrazów. Mógłbym przysiąc, że jeden z nich widziałem już przedtem. Niedawno temu, w gazecie. Myślę, że obraz komuś skradziono.

Bob i Pete patrzyli na niego z uwagą.

- Myślisz, że Burton jest włamywaczem? - zapytał Pete.

- Nie mamy na to wystarczających dowodów - odparł Jupe. - A ta skrzynia z pieniędzmi? Czy włamywacz trzymałby tyle pieniędzy pod ręką? Ale osoba, która odkupuje skradzione dobra, potrzebuje dużo gotówki. Czy więc Burton jest paserem?

Jupe wstał i popatrzył na szyb windy.

- Chyba spróbuję raz jeszcze wyprawić się na dół - zdecydował.

- Zostaw to mnie - powiedział Bob. - Porobię zdjęcia i w minutę będę z powrotem.

Chcę zresztą zobaczyć te skarby.

Bob wsunął się do szybu i opuścił w dół na powiązanych prześcieradłach, co znacznie ułatwiło zadanie. Znikł w otworze drzwiczek niższego piętra, a Pete zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem.

Jupe usiadł znowu na podłodze, podciągnął kolana pod brodę i zapatrzył się przed siebie. Szczypał dolną wargę.

- Och, teraz to widzę! - powiedział po pewnym czasie.

Pete zatrzymał się.

- Co?

Jupe zaczął mówić cicho, wciąż wpatrując się przed siebie, jakby oglądał film.

- Wyobraź sobie, że jest Czwarty Lipca. Masz pięć lat, jak Todd, i odbywa się parada, którą wszyscy są zaabsorbowani, zbyt zajęci, żeby cię pilnować. Co byś zrobił?

Pete zmarszczył czoło.

- Chyba coś, czego nie powinienem.

- Właśnie. Wszedłbyś do galerii "Syrena"? Jesteś na dziedzińcu i przypuścimy, że

wchodzisz cicho schodami na górę, zaglądasz przez szybę i widzisz, że Clarka Burtona nie ma w środku. Mógłbyś sobie pomyśleć, że tak jak wszyscy dorośli, poszedł na ulicę i ogląda paradę. Możesz wejść do galerii poniżej czujnika w drzwiach i nie uruchomisz dzwonka. Tiny jest z tobą dla bezpieczeństwa.

Chodzisz sobie po galerii i oglądasz piękne przedmioty. Zauważasz drzwi, których nigdy przedtem tam nie było. Drzwi w komórce. Tak, to musi być tam. Za kontuarem jest komórka ze schowkiem na miotły, tuż przy ścianie. Tam muszą być drzwi do gospody. Lub może cały schowek odsuwa się i otwiera przejście do apartamentu księżniczki.

Teraz mamy dwie możliwości. Albo Burton był w apartamencie księżniczki i zostawił ukryte drzwi otwarte. Można je zobaczyć tylko z galerii, a było mało prawdopodobne, by ktoś wszedł do niej w czasie parady. Burton nie musiał więc być zbyt ostrożny. Przypuśćmy, że obejrzał się, zobaczył podglądającego go Todda i zdał sobie sprawę, że Todd widzi skarbiec. Lub też Burton był w swoim mieszkaniu, wrócił do galerii i przyłapał Todda, gdy ten zaglądał do pokoju skarbów. Pewnie zirytowałoby go to? Może wpadłby w furię?

Co by się potem stało? Czy Burton rzuciłby się na Todda, a Todd by uciekał? Mógłby dać nura za postument posążku i syrena spadłaby i rozbiła się. Lub też pies zaatakowałby Burtona i strącił posążek. W każdym razie posążek spadł i uderzył Tiny'ego. Szok zabił psa.

Tymczasem Todd mógł się już znaleźć przy tylnych drzwiach. Burton często nie przekręcał ich zamka. Todd mógł je więc bez przeszkód otworzyć i wybiec. Ale jeśli przedtem Todd się obejrzał i zobaczył ciało psa i rozbity posążek, co mógłby pomyśleć? Czy mógłby pomyśleć, że to się stało z jego winy?

Pete skinął głową.

- Tak. Pewnie, że by mógł. Jak jesteś mały, stale myślisz, że jesteś wszystkiemu winien. Tak ci zawsze mówią: twoja wina!

- Właśnie. Tak więc Todd mógłby dojść do wniosku, że się wpędził w okropne kłopoty, musi więc uciec i ukryć się tak, jak to powiedziała pani Stratten.

Pete popatrzył na Jupe'a z lękiem w oczach.

- Tak, tak mogło być. Ale gdzie by się ukrył? Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że Burton go złapał i... i...?

- Nie - powiedział Jupe. - Jak pamiętasz, Burton nie wie, gdzie jest Todd. Pojechał go szukać pod mołem w Santa Monica.

- Och, prawda. Ale dlaczego? To znaczy, dlaczego zrobił to tak ukradkiem? Czyżby chciał... no, czyżby chciał się pozbyć Todda tak, żeby ten nie mógł opowiedzieć o pokoju skarbów?

Jupe nie odpowiedział. Popatrzyli na siebie i pobladli obaj. Wtem usłyszeli, że Bob wspina się w szybie, i pospieszyli mu z pomocą.

- Można oszaleć tam na dole! - wykrzyknął Bob po wyjściu z szybu. - Zupełnie jak historia z "Tysiąca i jednej nocy". Mówisz: "Sezamie, otwórz się!", i znajdujesz złoto i klejnoty!

- Zrobiłeś zdjęcia? - zapytał Jupe.

- Pewnie. Sfotografowałem obrazy, pieniądze, wszystko. Co teraz robimy? Idziemy na policję?

- Może - powiedział Jupe - ale najpierw mamy coś ważniejszego. Jeśli znajdziemy jeszcze tylko jeden fragment, łamigłówka "Gdzie jest Todd Stratten?", będzie rozwiązana!

Rozdział 17

Jedna z tajemnic zostaje wyjaśniona

Regina Stratten była w księgami, gdy chłopcy weszli.

- Nie mogłam usiedzieć w domu - powiedziała. - Myślałam... myślałam, że tu będzie lepiej.

Trzydniowa nieobecność Todda zniszczyła ją. Cera pozółkła, na czole pojawiły się głębokie bruzdy.

Pan Finney kręcił się cicho po sklepie, z odkurzaczką z piór w ręce. Machał nią wzdłuż rzędów książek, a jego ruchy były automatyczne, jakby we śnie.

- Proszę pani, czy Todd miał na Nadbrzeżnej jakichś przyjaciół, którym szczególnie ufał? - zapytał Jupe.

Starła się uśmiechnąć, ale zdobyła się tylko na grymas.

- Tiny. Ufał Tiny'emu, ale Tiny nie żyje.

- Proszę pani, ktoś Toddowi pomaga. Przepadł na trzy dni i myślę, że słusznie pani przypuszcza, że uciekł. Ale ktoś musi go ukrywać i żywić. Zakładam, że to jakieś dziecko. Dorosły dawno by dał znać na policję. Todd z pewnością znał tu jakieś dzieci.

Podczas gdy Regina zastanawiała się z pochyloną głową, Jupiter spoglądał przez okno wystawowe w stronę plaży. Ulicą włókł się Fergus-śmieciarz, dźwigając pękatą torbę, białą z czerwonym napisem. Wesole, wyraźne litery głosiły: "PAŁAC KURCZAKÓW CHARLIEGO - SMAKOWITE UDKA".

- Och! - zawołał nagle Jupe.

Fergus mijał właśnie okno i Jupiter uśmiechnął się.

- Proszę pójść teraz z nami - powiedział.

Mówił zniżonym głosem i Regina spojrzała na niego w napięciu.

- Co? - szepnęła. - O co chodzi?

- Przeoczyliśmy coś zupełnie oczywistego - powiedział Jupe, wskazując ulicę.

Regina wyszła przed sklep, za nią chłopcy.

- Regina? - zawołał pan Finney.

Nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie, na kuśtykającego Nadbrzeżną Fergusa.

Pan Finney wyszedł i zamknął za sobą drzwi sklepu. Wszyscy ruszyli chodnikiem.

Fergus wysunął się kawałek przed nich. Nie miał dziś ze sobą psów ani wózka. Tylko torbę z kurczakami.

Znajdowali się około stu metrów od sklepu, gdy Fergus skręcił z Nadbrzeżnej. Znikł w jednej z krótkich uliczek, łączących Nadbrzeżną z Przelotową.

- Pete, nie dopuść, żeby nam przepadł - krzyknął Jupe.

- Robi się!

Pete pomknął naprzód. Dobiegł do ulicy, w którą skręcił Fergus, i spojrzał w stronę Przelotowej. Następnie pomachał ręką do Jupe'a i Boba i znikł za Fergusem.

Jupe przyspieszył kroku.

- Fergus! - powiedziała Regina. - To Fergus, prawda? Od początku to był Fergus!

Zaczęła niemal biec. Jej drewniane chodaki stukały po chodniku,

- Regina, na litość boską! - wołał jej ojciec, - O co właściwie chodzi?

- Fergus - powiedziała. - Powinnam się była domyślić.

Doszli do rogu ulicy, w którą skręcił Fergus. Była to zaledwie wąska droga między budynkami. Na rogu zobaczyli tabliczkę: "SZLAK POGODNYCH WYSP".

Pete czekał na skraju Przelotowej. Skinął na nich i poszedł dalej, w stronę Alei Pacyfiku.

Regina przebiegła przez Przelotową i zrównała się z Pete'em w połowie drogi do Alei Pacyfiku. Pete spoglądał w głąb zarośniętego chwastami podjazdu, który wiódł do garażu na tyłach zrujnowanego domu, o krytym gontem dachu.

- Fergus tam wszedł - powiedział, wskazując garaż. - Słyszałem szczekanie jego psów, kiedy otworzył drzwi. Na ganek domu wyszedł staruszek.

- Chcecie czegoś?! - zawołał. Regina ruszyła podjazdem.

- Chwileckę! - krzyknął starzec. Nie miał zębów i seplenił. - To pływalny telen! Wyjdźcie stąd, bo zawołam gliny!

Tymczasem Charles Finney i Jupiter szli za Reginal. Psy szczekały.

- Słyszycie? - krzyczał piskliwie staruszek. - To pływalna własność! Wynocha!

- Todd?! - zawołała Regina. - Todd, jesteś tutaj?!

Podwórce za domem było dżunglą chwastów, garaż tak stary, że pochylał się na jedną stronę. Regina chwyciła klamkę i pociągnęła. Drzwi otworzyły się na zewnątrz, szorując po ziemi.

Wnętrze garażu było ciemne, ale pełne ruchu. Psy szczekały i usiłowały rzucić się na Reginal. Fergus trzymał jednego psa za obrożę, drugiego blokował uniesionym kolaniem, a jego okrągła wystraszona twarz jawiła się jak plama. Pod tylną ścianą stała mała postać. Detektywi dostrzegli bladą twarzyczkę i wielkie, szeroko rozwarte oczy.

- Todd!

Regina, nie bacząc na psy, podeszła do chłopca i opadła na kolana.

Todd upuścił kurze udko, które trzymał w ręce, i rzucił się matce na szyję. Objęła go wśród łez, a on tulił się do niej.

Pan Finney zakaszłał i odwrócił się.

Fergus zdołał uciszyć psy. Zagnał je w róg garażu i usiadł na stojącej tam wojskowej pryczy. Patrzył smutno na Reginę i Todda. Przez krótki czas miał przy sobie małego chłopczyka. Teraz znów będzie sam. Każdego ogarnąłby smutek.

Rozdział 18

Wizyta na policji

Detektywi szli podjazdem z Toddem i jego rodziną. Na ulicy dostrzegli migające światło. Staruszek wezwał policję.

Mieszkańcy całego Szlaku Pogodnych Wysp wyszli na ganki i gapili się. Staruszek stał na stopniach swego domu i wyrzaskiwał ze złością o intruzach i wandalach.

- Patrzcie! - krzyknął ktoś. - To ten chłopczyk! Mają zaginionego chłopczyka!

Ludzie podawali sobie wiadomość od domu do domu. Odnaleziono zaginione dziecko! Matka je znalazła!

Gapiów przybywało jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nadchodzili od strony plaży. Przyjechało też więcej samochodów patrolowych, blokując drogę przed starym domem. Charles Finney krążył wokół i opowiadał przybywającym całą historię na nowo i na nowo.

Można się było obawiać, że tłum runie na Reginę, Pete i Bob starali się więc ją osłonić. Później policja zajęła pozycję u jej boku. Paru oficerów policji wyprowadziło Fergusa, był skuty w kajdanki. Todd płakał, Regina protestowała.

Jupe złapał Pete'a za rękaw.

- Zabierajmy się stąd - powiedział. - Mamy coś jeszcze do zrobienia.

Chłopcy przepchnęli się na skraj zbiegowiska. Koło Przelotowej dostrzegli pana Conine'a, który stał na kuble do śmieci dla lepszego widoku, a także Clarka Burtona, zmierzającego wielkimi krokami od Nadbrzeżnej. Burton trzymał się nieco z dala od spieszącego tłumu. Jego ładna twarz była bez wyrazu. Popatrzył na samochód policyjny, wiozący Reginę i Todda, po czym odwrócił się i poszedł, skąd przyszedł - na Dziedziniec Syreny.

- Co on teraz zrobi? - odezwał się Bob. - Jeśli Todd widział pokój skarbów, opowie o tym na pewno.

- Być może zaprzeczy bezczelnie - odpowiedział Jupe. - Todd jest dzieckiem z bujną wyobraźnią. Biorąc pod uwagę strach, jaki przeżył, wątpię, czy znajdzie dostatecznie silne argumenty na uprawdopodobnienie tego, co widział. Burton może powiedzieć, że pokój skarbów przysnił się Toddowi. Czy wy byście uwierzyli w historię o ukrytych drzwiach i skrzyni pełnej pieniędzy?

Pete uśmiechnął się.

- Chyba nie.

- Udowodnienie prawdziwości tej historii jest więc naszym zadaniem - powiedział Jupe. - Niedaleko stąd, w Santa Monica jest miejsce, gdzie wywołują filmy w ciągu godziny. Bob, może byś się tam przeszedł i poprosił fotografa, żeby wywołał zdjęcia jak najszybciej. Pete i ja musimy poszukać czegoś w weneckiej bibliotece. Chcę odświeżyć w pamięci sprawę, o której czytałem ostatnio w gazecie. Jak tylko fotografie będą gotowe, przyjdź do biblioteki.

Rozstali się. Bob poszedł do fotografa, a Jupiter i Pete do małej biblioteki przy ulicy Głównej.

Droga na Główną zabrała im dużo czasu z powodu balonu na podgrzewane powietrze. Był uwiązany na placu parkingowym przed nowym handlowym centrum, z okazji jego otwarcia. Napis obiecywał gratisową przejażdżkę każdemu spośród stu klientów, kto będzie miał szczęście wyciągnąć z pudła w sklepie wygrywający los.

- To może być zabawne - powiedział Pete, obserwując kilka osób wsiadających do gondoli balonu.

- Chodźmy - niecierpliwił się Jupe.

W bibliotece chłopcy odszukali numery gazety "Los Angeles Times" z ostatnich dwu tygodni. Biblioteka nie miała ich jeszcze na mikrofilmie.

- Czego szukamy? - zapytał Pete.

- Jestem pewien, że artykuł o skradzionym obrazie widziałem niedawno - odpowiedział Jupe. - Może jest w którejś z tych gazet.

Zanieśli gazety do jednego z długich stołów w czytelnicy. Zaczęli je przeglądać, przewracając strony i przebiegając oczami tytuły. Pete pierwszy wpadł na artykuł.

- Jest! - powiedział z tryumfem. Podsunął gazetę Jupiterowi.

Artykuł znajdował się na drugiej stronie, wśród wiadomości lokalnych. Było tam zdjęcie obrazu - grupa dzieci bawiących się na łące. Obraz wyglądał dokładnie tak samo jak ten, który widzieli na ścianie w gospodzie "Syrena".

- Wiedziałem, że skądś go znam - powiedział Jupiter z satysfakcją.

Bob, który nadszedł w godzinę później, zastał przyjaciół wciąż napawających się zdobyczą. Jupe zrobił odbitkę artykułu. Określano w nim obraz jako dzieło Degasa. Nie był to żaden z dobrze znanych obrazów Degasa, ale miał wielką wartość. Znajdował się wśród innych cennych przedmiotów skradzionych w Bel-Air z domu finansisty Harrisona W. Dawesa. Pan Dawes powrócił do domu z premiery i zastał system alarmowy odcięty. Włamywacze uszli z Degasem i innymi kosztownościami.

Bob przyniósł właśnie wywołane zdjęcia. Wyjął fotografię obrazu z gospody "Syrena". Zgadzała się idealnie ze zdjęciem w gazecie.

- Pięknie! - powiedział Pete. - Ale co, jeśli obraz z gospody "Syrena" to tylko kopia Degasa? Przecież mogą być kopie.

- Z pewnością - przyznał Jupe - ale mogę się założyć niemal o wszystko, że obraz w gospodzie jest oryginałem. Wcale bym się też nie zdziwił, gdyby inne rzeczy, które Bob dziś sfotografował, były własnością pana Dawesa. A inne skarby Burtona mogą także pochodzić z włamań. To z pewnością zainteresuje policję!

Chłopcy wyszli z biblioteki w słoneczne późne popołudnie. Jupiter pogwizdywał.

Lecz kiedy Trzej Detektywi przybyli na posterunek miejscowej policji, spotkali się ze sceptycznym przyjęciem. Najpierw podeszli do policjanta dyżurującego w recepcji.

Jak zwykle Jupe wystąpił w imieniu zespołu. Pete i Bob stali z tyłu, wierząc, że pewność siebie Jupe'a przekona dyżurnego o wadze dowodów rzeczowych, którymi dysponowali.

- Mamy informacje, które mogą doprowadzić do aresztowania osoby lub osób odpowiedzialnych za niedawne włamanie do domu Harrisona Dawesa - powiedział Jupe.

Pokazał następnie odbitkę artykułu w gazecie i fotografię zrobioną przez Boba w gospodzie "Syrena".

- Fotografię zrobiono dzisiejszego popołudnia. Wiemy, gdzie znajduje się skradziony obraz Degasa.

Dyżurny policjant popatrzył na okazane mu dowody rzeczowe i nie skomentował ich. Zaprowadził chłopców do małego pokoju o nagich ścianach, w którym stał stół i kilka krzeseł, i kazał im czekać.

Niezdługo do pokoju wszedł mężczyzna w cywilnym ubraniu. Miał ze sobą odbitkę artykułu i fotografię.

- Bardzo interesujące - powiedział, ale ton jego głosu nie wyrażał bynajmniej zainteresowania. Była w nim raczej nuta zmęczenia i być może nudy,

- Zdjęcie w gazecie jest trochę niewyraźne, ale to może być ten sam obraz. Wasze zdjęcie może być oczywiście fotografią reprodukcji, prawda? Gdzieście je zrobili?

Tu popatrzył na Boba, przez którego ramię przewieszony był aparat fotograficzny.

- To ty zrobiłeś zdjęcie?

- Tak, proszę pana - odpowiedział Bob. - W apartamencie gospody "Syrena" przy Nadbrzeżnej.

- W gospodzie "Syrena"? Gospoda "Syrena" jest zamknięta od lat.

Teraz odezwał się Jupe:

- Tak się powszechnie uważa, ponieważ właściciel życzy sobie, żeby tak uważano. Ale naprawdę w gospodzie jest jeden apartament, który wciąż jest użytkowany. Jest pełen pięknych przedmiotów, z których przynajmniej jeden pochodzi z łupu włamywaczy. Bob ma więcej zdjęć. Są to zdjęcia sreber, kryształów, innych obrazów i nawet mebli, które również mogą być czyjąś skradzioną własnością. Wydaje nam się, że właściciel, Clark Burton, handluje skradzionymi dobrami lub być może sam jest włamywaczem. Jest bardziej prawdopodobne, że jest handlarzem skradzionych przedmiotów, ponieważ w gospodzie ma skrzynię pełną pieniędzy.

Bob wyciągnął fotografie i rozłożył je na stole. Było tam między innymi świetne zdjęcie otwartej skrzyni, wypełnionej banknotami.

Detektyw mruknął jedynie "hm" i poprosił chłopców o okazanie dokumentów. Bob i Pete podali mu legitymacje uczniowskie. Jupe wręczył kartę biblioteczną i idąc za impulsem, kartę wizytową Trzech Detektywów.

Oficer stęknął.

- Detektywi-amatorzy! Mogłem się tego spodziewać. Każdy dzieciak w waszym wieku jest detektywem.

- Niezupełnie jesteśmy amatorami - powiedział Jupe z godnością. - Rozwikłaliśmy zagadki, które były nierozwiązywalne dla osób o wiele od nas starszych. Nie jesteśmy skrępowani uprzedzeniami...

- Wiem, wiem - przerwał mu detektyw. - Jeśli istotnie zrobiliście te zdjęcia w gospodzie "Syrena", zapewne nie jesteście również skrępowani przepisami prawa. Wtargnięcie do czyjejś posiadłości jest przestępstwem. - Wstał i powiedział: - Poczekajcie tu, chłopcy. Wrócę za chwilę.

Zabrał zdjęcia i artykuł i wyszedł.

Pete jęknął.

- Zdaje się, żeśmy się wpakowali. Zatelefonuje pewnie do naszych starych.

Jupe skinął głową.

- To będzie niemiłe, ale niezbyt groźne. Zawsze przedtem okazywali wyrozumiałość. Ale nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Może chce porównać fotografie Boba z listą skradzionych rzeczy. Do kogoś na pewno będzie musiał zatelefonować. To może potrwać.

- Będę wdzięczny, jeśli nie zatelefonuje do Clarka Burtona - powiedział Bob.

- Do Clarka Burtona? - zaniepokoił się Pete. - Po co miałby do niego telefonować?

- No, weszliśmy do gospody. Jeśli Burton zechce wnieść oskarżenie, a detektyw nie

sprawdzi skradzionej własności...

Bob nie dokończył zdania, ale było oczywiste, co miał na myśli.

Zapadła długa cisza. Wreszcie odezwał się Jupiter.

- A jeśli zatelefonuje do Clarka Burtona, co ten zrobi? Czy podpisze na nas skargę? Czy będzie uciekał? A także, czy Todd opowiedział o pokoju skarbów? Jeśli tak, nasze zdjęcia poprą jego opowieść. Myślę...

- Czekaj - przerwał mu Bob. - Skąd wiemy, że Todd w ogóle widział ten pokój?

- A skąd by Fergus wziął pieniądze na to całe jedzenie? - odparował Jupe. - Ciasta, pizza, kurczaki? Tony Gould opowiadał, jak dużo Fergus kupił. Myślę, że Todd musiał wziąć kilka banknotów z pokoju skarbów, nie zdając sobie prawdopodobnie sprawy, co czyni, i dał je potem Fergusowi.

- Wiecie co? - Jupiter wrócił do domysłów, jak postąpi Burton. - Myślę, że jeśli ktoś szybko nie podejmie jakiejś akcji, Burton ucieknie. Pamiętajcie, że jest w panice. Co rozsądnego można było zrobić z rozbitą syreną? Zwyczajnie pozbierać kawałki i wrzucić je do śmietnika, prawda? Ale zamiast tego, Burton zabrał ją na molo i cisnął do oceanu! Teraz pętla zacieśnia mu się na szyi i może zrobić nie wiadomo co. Może nawet usiłować dobrać się do Todda!

Pete i Bob patrzyli na Jupe'a ze zgrozą. Wreszcie Bob powiedział:

- Nie możemy do tego dopuścić.

Pete podszedł do drzwi i wyrzął na korytarz. Mógł stąd dostrzec recepcję przy wejściu na komisariat. Nikogo tam teraz nie było.

- Droga wolna - powiedział. - To co robimy? Dajemy drapaka?

Otworzył drzwi szerzej i wszyscy trzej szybko znaleźli się na ulicy. Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, puścili się pędem ku plaży i starej gospodzie!

Rozdział 19

W górę, w górę i w dal

Było już po siódmej, gdy chłopcy dotarli do Nadbrzeżnej. Zgiełk, tak typowy dla Wenecji, uciszył się nieco. Ruch na Przelotowej przerzedził się, także na Nadbrzeżnej było niewielu spacerowiczów.

Na ulicy, przed "Molem Książkowym" zobaczyli ekipę telewizji i trochę gapiów. Chłopcy trzymali się z dala od zbiegowiska. Wśliznęli się na dziedziniec i spojrzeli w górę. Jedyne, co zajmowało ich myśli, to pięcioletni chłopczyk, dopiero co przywrócony rodzinie i znowu w poważnym niebezpieczeństwie.

Z początku myśleli, że Clark Burton już umknął. Galeria była wyraźnie zamknięta. Na okno wystawowe zaciągnięto stalową kratę.

- Nie widziałem przedtem tej kraty - powiedział Bob. - Myślicie, że przepadł na dobre czy tylko zamknął galerię na noc?

Żaden nie odpowiedział. Wpatrywali się w okna mieszkania obok galerii. Z zaciągniętymi storami, mieszkanie zdawało się głuche i opuszczone.

Lecz wtem poruszyła się zasłona we frontowym oknie. Ktoś wyglądał na Nadbrzeżną.

- Oho! Jest jeszcze! - wykrzyknął Pete.

- Ale być może nie na długo - powiedział Jupiter. - Wygląda, jakby się szykował do ucieczki. Założę się, że wyjdzie tylnymi drzwiami i zejdzie do garażu na zapleczu.

- Więc na co czekamy? - powiedział Bob.

Opuścili dziedziniec, okrążyli północne skrzydło budynków i weszli na zapleczu. Burton wychodził właśnie tylnymi drzwiami swej galerii na mały podest u szczytu schodów. Niósł walizkę i zatrzymał się, żeby zamknąć drzwi na klucz. Nie rozglądał się. Nie widział więc trzech chłopców, którzy obserwowali go, gdy schodził ze schodów. Tak jak przewidział Jupiter, poszedł do garażu, pobrzękując kluczami.

Dopiero gdy Burton sięgał do zamka w drzwiach garażu, Jupiter wziął głęboki oddech i podszedł do niego.

- Wyjeżdża pan na dobre, panie Burton? - zapytał. - To fatalnie. Mieliśmy nadzieję, że poczeka pan, aż doprowadzimy naszą sprawę do końca.

Burton odwrócił się. Jego twarz była blada.

- Sądziłem, że już ją zakończyliście - powiedział. - Dzieciak się odnalazł. Bardzo sprytnie domyśliлиście się, że był u Fergususa. Należą się wam gratulacje.

- Może zechciałby pan usłyszeć, czego się jeszcze domyśliliśmy? - zapytał Jupe. - A może pan zgadnie? Gdy wyrzucił pan syrenę z mola, dało nam to do myślenia. Kiedy znaleźliśmy pokój skarbów, już wiedzieliśmy, o co chodzi!

Burton przełknął ślinę i oblizwał wargi. Zadrżał mu kącik ust. Nagłym ruchem odwrócił się i zaczął otwierać drzwi garażu.

- Nie! - krzyknął Pete.

Skoczył na Burtona i przewrócił go. Klucze zatoczyły łuk i upadły w połowie Przelotowej. Jupiter wyminął Pete'a z Burtonem, podniósł klucze i rzucił nimi.

Przelotową nadjeżdżał samochód i gdy się zbliżył, kierowca opuścił okno.

- Hej, panie, jakieś kłopoty? - zawołał.

Pytanie adresował do Burtona, ale odpowiedział Jupe:

- Tak. Niech pan wezwie policję! - krzyknął. - Szybko!

Kierowca zatrzymał samochód, ale zaraz ruszył ostro i skręcił w następną przecznicę.

- Ty mały, wścibski bufonie - sapał Burton, zbierając się na nogi.

- Panie Burton - powiedział Jupe - ten człowiek nie miał pojęcia, o co chodzi, ale jest szansa, że wezwie policję. Złożyliśmy już meldunek o pokoju skarbów w gospodzie "Syrena". Gdy przyjedzie policja i zastanie pana usiłującego zbiec z walizką pieniędzy, bo zapewne to ma pan w walizce, zainteresuje się tym bardzo.

Burton na moment zwiesił głowę, jakby godził się z porażką. Ale nagle wyprostował się. Miał pistolet w ręku.

- Doskonale - powiedział. - Zabieram się stąd teraz, a wy pójdziecie ze mną. Jeśli policja tu przyjedzie, nie zastanie już nikogo.

Ani Jupe, ani też Bob czy Pete nie przewidzieli pojawienia się rewolweru. Przysunęli się do siebie. Broń Burtona była mała, ale groźna.

- Ruszać się! - Burton gestem nakazał im iść naprzód.

- Nie ośmieli się pan strzelać! - powiedział Jupe. - Policja może tu być w każdej chwili.

- A co mi zależy? - odparował Burton. - Moje życie tutaj i tak jest skończone. Teraz w nogi! Idziemy do Alei Pacyfiku i jeśli któryś z was podniesie głos, przestrelę go na wylot!

Chłopcy cofnęli się o krok, po czym odwrócili się i zaczęli iść w stronę wąskiej uliczki, która wiodła do Alei.

- Ty! - warknął Burton. - Ty wysoki. Skoro taki z ciebie atleta, możesz nieść walizkę.

Pete zawrócił, wziął bagaż i ruszyli dalej. Burton rękę z rewolwerem trzymał w kieszeni.

- Nie ma pan dokąd uciec - odezwał się Jupiter. - Powiedzieliśmy policji o domu przy ulicy Eweliny.

Było to kłamstwo, ale Burton uwierzył. Zaklął i kazał im iść szybciej w stronę Alei Pacyfiku. Przecięli ją i poszli na ulicę Główną.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Niebo było szaroniebieskie, a okna na Główniej złociły się w ostatnich promieniach. Na rogu znajdowało się centrum handlowe, gdzie na parkingu zamocowany był balon. Operator zabezpieczał swój pojazd na noc, uwiązując liny do osadzonych w asfalcie metalowych pierścieni.

Burton skierował chłopców na skos przez parking, wprost do balonu.

- Hej, przyjaciele, koniec przejażdżek na dzisiaj - powiedział operator. - Musicie przyjść jutro. Balon już zamocowany na noc. Zaraz będzie ciemno.

Burton wymierzył do niego z rewolweru. Operator uśmiechnął się słabo.

- Och, jeśli to takie dla was ważne. Z przyjemnością wezmę pana i pańskich chłopców na przejażdżkę i...

- I pospiesz się - przerwał mu Burton. - Tylko bez gwałtownych ruchów. Jestem bardzo nerwowy i nie najlepiej obchodzę się z bronią. Mógłbym popełnić błąd i być potem niepokieszony.

Skinął na chłopców.

- Wsiadać - zakomenderował.

Jupiter, Bob i Pete wspięli się do zawieszanej pod balonem gondoli. Burton za nimi.

- Odczep te liny i chodź tu - powiedział do operatora. - Dalej! Spiesz się!

- Panie, nie wiem, o co panu chodzi, ale ta rzecz nie funkcjonuje jak samochód - powiedział operator. - Jeśli nie zostawię choć jednej liny...

Burton fuknął niecierpliwie.

- Odwiąż wszystkie. A jak pójdziemy w górę, lepiej, żebyś do nas dołączył. Będę miał dość czasu, żeby cię zastrzelić, gdybyś się zdecydował nie polecieć z nami.

- Czy nie byłoby prościej wezwać taksówkę i kazać się zawieźć na lotnisko czy dworzec autobusowy? - odezwał się Pete. - Albo wynająć samochód? To jest naprawdę obłąd i...

- Zamknij się! - wrzasnął Burton.

Pete trzymał już język za zębami. Operator zwolnił wszystkie liny i balon zaczął się unosić. Burton pogroził operatorowi. Ten rozpędził się i wskoczył do gondoli.

- To się nie nadaje na dalekie podróże - powiedział. - Jeśli znajdziemy się nad oceanem...

- Wiatr wieje w przeciwną stronę - uciał Burton.

Wznosili się wyżej i wyżej. Pete uchwycił jedną z lin gondoli i popatrzył w dół. Poczł w żołądku słabość. To nie było tak zabawne, jak sobie wyobrażał tego popołudnia.

Słońce nie zaszło jeszcze. Opadało nad oceanem, a na ziemi kładły się już cienie. Mrok wypełniał niżej położone miejsca, niczym woda basen, Pete zauważył, że zapaliły się latarnie uliczne i światła niektórych samochodów.

Burton nie patrzył w dół. Jego twarz była maską wściekłości i rozpacz. Przenosił wzrok to na Jupe'a, to na Boba, operatora, Pete'a i z powrotem na Jupe'a.

Powiedział, że jego życie na Dziedzińcu Syreny jest skończone. To była prawda. Ale gdyby tam został, może wywinąłby się jakoś z kłopotów. Mógł wymyślić coś na usprawiedliwienie istnienia sekretne go pokoju i na to, że zataił swą rolę w zniknięciu Todda. Wpadł jednak w panikę i teraz był zbiegiem, niebezpiecznym i zdolnym do wszystkiego.

Co zrobi dalej? Dokąd pójdzie? Co stanie się z Trzema Detektywami?

Byli teraz ponad sto metrów nad ziemią. Wiatr niósł ich na północny wschód. Jupiter wyjrzał w dół. Wprost pod nimi sunął sznur samochodów. Jupe dostrzegł duży czarny numer na białym dachu samochodu. Wóz policyjny!

Dotknął nogą walizki, którą Pete przytargał z nad plaży. Przez chwilę oglądał uważnie jej zamki. Następnie, niemal za jednym zamachem, otworzył je i wysypał zawartość walizki za burtę gondoli!

- Hej, co u... - zamruczał Burton, a Jupe wychylił się, by zobaczyć co wyrzucił.

To były pieniądze! Pieniądze, oczywiście! Dziesiątki, dwudziestki, pięćdziesiątki, tak starannie posortowane w pokoju skarbów. Paczki opadały teraz w dół, wirując na wietrze, rozpadając się i rozsypując. Policjanci, jadący w samochodzie patrolowym, znaleźli się nagle w zamieci pieniędzy!

Samochód patrolowy zahamował gwałtownie. Wskoczyli z niego policjanci. Spoglądali w górę i wykrzykiwali coś, czego pasażerowie balonu nie mogli dosłyszeć.

Inne samochody zaczęły się zatrzymywać, a ich kierowcy wysiadali i przepychając się, biegli za pieniędzmi.

Balon płynął dalej, połyskując w ostatnich promieniach słońca. Jego pasażerów dobiegło wycie syreny. Drugi samochód patrolowy skręcił w ulicę na dole. Zatrzymał się przy pierwszym i jeszcze dwaj policjanci wysiedli, spoglądając w górę.

- Jestem pewien, że policja nie straci nas z oczu - powiedział spokojnie Jupe. - Nie dlatego, że istnieje prawo zabraniające zrzucania pieniędzy z balonu, ale dlatego, że rodzi to pewne pytania. Policja będzie czekać na nas, panie Burton, w miejscu gdzie balon wreszcie

opadnie w dół. Bowiem nic nie może wiecznie unosić się na niebie.

Burton nie powiedział ani słowa.

Dwa samochody patrolowe były teraz daleko za nimi, ale w dole pojawiły się inne. Ich migające światła towarzyszyły płynącemu nad miastem balonowi.

Wtem dobiegł ich nowy dźwięk. Nad nimi zaterkotał motor i znaleźli się w snopie jaskrawego światła.

- Śmigłowiec policyjny - powiedział Jupe. - Musi to być dla nich miłe urozmaicenie. Zazwyczaj ścigają zbiegłych przestępców po ziemi.

Burton wciąż się nie odzywał, ale dyszał ciężko jak po przebiegnięciu długiego dystansu.

Jupe nieustępliwie ciągnął dalej:

- Nawet jeśli zdołamy umknąć z miasta, policja zawiadomi przez radio patrol na autostradzie, a potem ludzie szeryfa przyłączą się do pościgu. Nie zostawią nas tak po prostu.

- On ma rację - odezwał się operator balonu. - Równie dobrze możemy już zejść w dół.

Burton nie odpowiedział, ale opuścił rewolwer. Operator pochylił się i wyjął mu go z ręki.

Opadali na rozległy, ciemny i pusty teren cmentarza weteranów, położonego na północ od Bulwaru Wilshire. Gdy wylądowali, policja była już na miejscu. Oficerowie otoczyli Clarka Burtona, gdy tylko wysiadł z gondoli.

- Fatalnie, że ekipa telewizji nie zdążyła na czas - powiedział Bob do swych kolegów.
- Burton wystąpiłby po raz ostatni.

Jupe uśmiechnął się.

- Jeszcze może wystąpić w telewizji. Będzie miał mnóstwo sposobności. Na przykład w drodze do sądu, a przy odrobinie szczęścia w drodze do więzienia.

Rozdział 20

Pan Hitchcock podpowiada tytuł

Cztery dni po nie planowanej wycieczce balonem, Jupiter, Pete i Bob wyprawili się na rowerach z Rocky Beach na północ, do Malibu. Z autostrady skręcili w Kanion Cyprysów, po czym wyboistą drogą dotelepalili się do dużego, świeżo pokrytego białą farbą domu, który stał na skraju jaru. Była to kiedyś restauracja “U Charliego” i wciąż jeszcze można było zobaczyć u okapu rurki neonu, który kiedyś przywoływał klientów, a teraz był już nieczynny. Dom był obecnie własnością Alfreda Hitchcocka, twórcy sensacyjnych filmów. Reżyser stopniowo przeobrażał budynek w przestronną i niezwykłą rezydencję.

Tego lipcowego ranka drzwi otworzył chłopcom Wietnamczyk Hoang Van Don, służący pana Hitchcocka. Don, szczupły mężczyzna po dwudziestce, był w dresie, a nie, jak zazwyczaj, w białej koszuli i czarnych spodniach. Poinformował chłopców, że właśnie uprawia jogging w miejscu.

- Pan Hitchcock czeka w salonie - powiedział, nie przestając dreptać.

- Jupiter! - zawołał pan Hitchcock. - Pete! Bob! Wchodźcie.

Don pobiegł truchcikiem do kuchni, a chłopcy weszli do dużego salonu o licznych oknach, który kiedyś był salą jadalną restauracji. Pan Hitchcock powitał ich z uśmiechem. Był zawsze rad Trzem Detektywom. Wspomagał ich w wielu sprawach i sam polecał im klientów.

Tego rana mały stolik przed kominkiem zalegały sterty gazet. Chłopcy domyślili się, że reżyser czytał o Clarku Burtonie i o pokoju skarbów w gospodzie “Syrena”.

Nie od razu jednak zaczął rozmowę o Burtonie. Patrzył z dumą na stojącą obok drzwi komodę. Był to niezwykły mebel, wysoki, z ciemnego drewna. Szkarłatną farbą były na nim wymalowane dziwne znaki. Komoda zawierała wiele szuflad, każda z nich była innej wielkości i kształtu. Były kwadratowe i owalne, głębokie i płytkie, duże i małe. Całość robiła wrażenie trójwymiarowej układanki.

- Podoba wam się? - reżyser uśmiechał się z dumą. - Właśnie ją dostałem. To sławny mebel. Szafka znanego magika Stregonio. Może nie słyszeliście o nim, gdyż umarł dawno temu. Miał taki numer popisowy: przedmioty, należące do osób spośród publiczności, znikają w tej komodzie. Nie mam pojęcia, jak to robił. Nie mogę znaleźć ukrytych szuflad, a jestem pewien, że gdzieś są jakieś. Ale szukając ich, dobrze się bawię.

Oderwał się od dziwnego mebla i wskazał chłopcom miejsca przy stole.

- Dość tego - powiedział. - Dzisiejsze gazety donoszą o innym spręćie. O skrzyni

skarbów Clarka Burтона. Biedak! Czuje się niemal współczucie dla takiej osoby, prawda? Ale opowiadajcie. Co się naprawdę wydarzyło? Gazety nigdy nie podają całej historii.

- Myślę, że tutaj ją pan znajdzie - powiedział Bob, kładąc przed panem Hitchcockiem teczkę z papierami.

- Już przepisałeś notatki na maszynie? - zdziwił się reżyser. - Moje uznanie.

Otworzył teczkę i zaczął czytać.

Za drzwiami rozległy się kroki i do pokoju wbiegł truchcikiem Don. Trzymał w rękach tacę z czterema szklankami, wypełnionymi po brzegi gęstą jak krem substancją. Nie spuszczał tacy z oczu i udało mu się zręcznie nie uronić ani kropli.

- Mleko tygrysa - oznajmił. - Dostarcza muskułom białka. Dziś nie będziemy obciążać organizmu południowym posiłkiem. Posiłek w południe prowadzi do drzemki po południu.

Postawił szklanki na stole i wybiegł z tacą.

Pan Hitchcock uniósł wzrok znad papierów i uśmiechnął się.

- Zauważyliście zapewne, że nastąpił kolejny zwrot w amerykańskiej Donie, Ostatnio wykupił sobie w Malibu roczną kartę do klubu sportowego i każdego rana uprawia jogging. Praktycznie biega ciągle, zamiast chodzić. Jest jeszcze coś, co nazywa się aerobik. Podnosi się tętno do pewnej częstotliwości i wykonuje się ćwiczenia, żeby tętno utrzymać na tym samym poziomie. Nie wiem dokładnie, co może się stać, gdy pozwoli się, żeby zwolniło się tętno, bo Don nie dopuszcza do tego. Poza tym, po okresie szaleństwa z tandetnym gotowym jedzeniem, potem ze zdrową żywnością, Don wykreślił teraz jedzenie niemal zupełnie. Pijemy tylko tygrysie mleko i od czasu do czasu ziołową herbatę.

Pan Hitchcock roześmiał się, okazując zadziwiająco dobry humor.

- Nim nastąpi kolejny zwrot i Don wpadnie w następne kulinarne szaleństwo, usiłuję jakoś przeżyć. Degustuję menu wszystkich restauracji między Malibu a Oxnard. Podczas gdy będę czytał wasze notatki, pijcie tygrysie mleko, które wcale źle nie smakuje. Potem pójdziemy do "Rybiej chaty kapitana Ahaba". Mają krewetki dla tych, którzy je lubią, a dla tych, którzy nie lubią, hamburgery. O, i tu coś jeszcze, żeby nie umrzeć z głodu.

Pan Hitchcock podszedł do komody magika. Otworzył jedną z większych szuflad i wyjął z niej paczkę herbatników serowych.

- Chowam herbatniki, żeby nie okazać przed Donem słabości charakteru - powiedział, wręczając paczkę Pete'owi.

Zasiadł ponownie do notatek. Zaległo milczenie. Gdy w końcu zamknął teczkę, potrząsnął głową i powiedział:

- Co za smutna historia! Ten nieszczęsny człowiek gotów był poświęcić życie dziecka

dla ocalenia... no cóż, czy to, co chciał ocalić, było czymś więcej niż stylem życia? Co miał właściwie do stracenia? Opinię publiczną i trochę przedmiotów, które można kupić?

- Lub ukraść - przypomniał Pete. - Najważniejsze dla niego przedmioty były skradzione.

- Tak. I jakie to samolubne. Trzymał wszystkie swoje skarby zamknięte. Ale nie mógł przecież pokazać ich nikomu, nie demaskując się równocześnie.

- Tak - przytaknął Jupe. - Ja rozpoznałem obraz Degasa skradziony z domu Dawesa, a nie jestem przecież ekspertem i nie był to nawet znany obraz. Burton nie zdradził swych motywów, ale domyślałam się, że posiadanie skradzionych dzieł dawało mu dreszczyk emocji. Lub być może jest tak zachłanny, że nie zważał na ryzyko.

- Teraz więc skradzione dzieła sztuki mogą wrócić do swych właścicieli - powiedział pan Hitchcock.

Bob skinął głową.

- O ile tylko zdoła się ustalić właścicieli. Policja wezwała nas, żeby nam podziękować za wskazanie miejsca, gdzie znajdują się skradzione rzeczy.

- Czepiali się też nas trochę, że wtargnęliśmy do gospody, ale nie za bardzo - dodał Pete. - Nasze informacje naprawdę pomogły. Policja obstawiła ten dom przy ulicy Eweliny. Dosłownie parę minut przed ukazaniem się w telewizji reportażu z lotu balonem, zjawił się tam zawodowy włamywacz. Zajechał wynajętą furgonetką załadowaną srebrem i meblami i gliny go zgarnęły.

- Łobuz nie chciał pójść do więzienia - podjął Bob. - W każdym razie nie na dłużej niż konieczne, więc sypał i dzięki temu policja ma obraz całości. Burtona zapraszano na większość dużych hollywoodzkich przyjęć.

Mimo że nie występował już w filmach, udało mu się utrzymać w środowisku filmowym. Wiedział u kogo można znaleźć cenny łup, i znał rozkład domów. Czasami orientował się nawet, gdzie umieszczony jest alarm. Wiedział też kiedy właściciele na pewno nie będzie w domu, kto właśnie wyjechał na wakacje, a służba ma wolne... Wskazywał ofiary i dostarczał przestępcom wszelkich możliwych informacji. Mówił im nawet, co wziąć, a co zostawić.

- Kupował od włamywaczy tylko to, co chciał posiadać. Był superpaserem i interesował go wyłącznie łup wartościowy. Pospolite przedmioty, jak radia, aparaty fotograficzne, złodzieje sprzedawali gdzie indziej. Pieniądze ze skrzyni przeznaczone były na zakupy, nie płaci się przecież za skradzione rzeczy czekami. Płaci się gotówką. Dom przy ulicy Eweliny był magazynem łupów. To, czego Burton nie chciał zatrzymać dla siebie,

sprzedawał handlarzom spoza miasta. A jeśli coś było trudne do zidentyfikowania, sprzedawał to w swojej galerii.

- Ale czy nie ryzykował okropnie? - zapytał pan Hitchcock. - Czy nie obawiał się, że włamywacze będą go szantażować?

- Nie wiedzieli, kim naprawdę jest - odpowiedział Jupe. - Przebierał się na spotkania z nimi i nie mogli się z nim kontaktować. To on kontaktował się z nimi.

- Aż w końcu Todd znalazł ukryte drzwi i maskarada się skończyła - powiedział pan Hitchcock.

- Zgadza się - przytaknął Jupiter. - Po trochu Todd opowiedział swą historię. Czwartego lipca dostał się do apartamentu w gospodzie i trzymał właśnie w ręce plik banknotów, gdy Burton go zaskoczył. Burton krzyknął. Pies skoczył na niego, a Todd uciekł. Potem Burton i pies zmagali się ze sobą i stracili posążek syreny, który uderzył psa. Tiny umarł na atak serca. Todd wybiegł tylnymi drzwiami przytłoczony poczuciem winy. Fergus znalazł go na plaży, wziął do siebie i starał się uszczęśliwić.

- Biedny chłopaczek - wtrącił pan Hitchcock.

- Burton mógł natychmiast powiedzieć Reginie, że Todd rozbił syrenę i uciekł - kontynuował Jupe. - Wiedział jednak, że Todd ma banknoty. Uciekł, trzymając je kurczowo. Jak Burton mógłby wytłumaczyć istnienie tych pieniędzy? Kłamał więc i kłamał, i brnął dalej w kłamstwa. Następnie zrobił rzecz niesłychanie głupią: wyrzucił syrenę z mola.

- Istotnie, to było nierozsądne - powiedział pan Hitchcock. - Ale co z Moochem i jego współlokatorem? Czy mieli jakieś powiązania z Burtonem?

- Nie. Mooch to tylko drobny złodziejasek, a jego współlokator łapie dorywcze prace na targu niewolników. Burton najmował tam ludzi do przewozu większych ładunków. Tak było łatwiej i bezpieczniej, niż zwrócić się do agencji transportowej.

- A Fergus? - zapytał pan Hitchcock. - Mam nadzieję, że policja nie obeszła się z nim zbyt surowo.

- Nie. Jest z powrotem na plaży i pani Stratten jest dla niego bardzo miła. Pan Finney również. Todd miewa się dobrze. We wrześniu zaczyna szkołę i pani Stratten nie będzie musiała uganiać się za nim bez przerwy.

- Tak więc cała ta tajemnicza sprawa kończy się szczęśliwie - powiedział Bob. - Czy zechciałby nam pan napisać do niej wprowadzenie?

- Z największą przyjemnością - odparł pan Hitchcock. - To wspaniała historia. Nawiedzona gospoda i ukryty pokój skarbów! Doskonale!

Gdy pan Hitchcock odwrócił ostatnią kartkę, zauważył coś błyszczącego.

- A to co? Fotografia? - podniósł zdjęcie Jupitera uwięzionego w szybie ręcznej windy.

Bob i Pete wybuchnęli śmiechem.

- Hej, niech no to... - Jupe zerwał się na nogi i spojrział na fotografię.

Oczywiście. Na zamglonym zdjęciu widniał Pierwszy Detektyw, umorusany i zły. Tkwił w kwadratowym szybie jak zbyt duży, okrągły kołek.

Pete zdołał wykrztusić wśród spazmów śmiechu:

- Myśleliśmy o nazwaniu tego: "Sprawa uwięzionej baryłki".

- Albo: "Co zeszło w dół, musi pójść w górę" - powiedział Bob.

Jupiter wyglądał jak kocioł tuż przed eksplozją.

Pan Hitchcock, starając się bohatersko zachować powagę, uciął żarty:

- Słuchajcie, wy dwaj, pomyślcie nad innym tytułem historii, chyba że chcecie, żeby wasz zespół zwał się "Dwaj Detektywi". Czy mogę zaproponować tytuł: "Tajemnica zaginionej syreny"?

- To brzmi bardzo dobrze - powiedział Jupe i wszyscy poszli do "Chaty kapitana Ahaba".